ŻYCIE

Cena 6 d

„Life"
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Rok II | Londyn, 22 lutego 1948. | Nr. 8/41

Paul CLAUDEL

MOJE NAWRÓCENIE

URODZIŁEM się 6 sierpnia 1868 roku. Moje nawrócenie dokonało się 25 grudnia 1886. Miałem wtedy osiemnaście lat. Ale charakter mój był już wówczas wyraźnie skrystalizowany. Choć zarówno po mieczu jak i po kądzieli wywodziłem się z pokoleń wierzących, które dały Kościołowi kilku księży, rodzina moja była religijnie obojętna, a po przybyciu do Paryża oddaliła się zupełnie od spraw wiary. Przedtem przystąpiłem do pierwszej komunii, która, jak dla większości chłopców, była jednocześnie uwieńczeniem i zakończeniem moich praktyk religijnych.

Wychowałem się, a raczej kształciłem: najpierw u nauczyciela szkoły katolickiej, potem w jednym z laickich gimnazjów prowincjonalnych, wreszcie w liceum Ludwika Wielkiego. Zaraz po przestąpieniu progu tej uczelni straciłem wiarę, która wydawała mi się niemożliwa do pogodzenia z Wielością Światów (!!!). „Życie Jezusa" Renana dostarczyło mi nowych argumentów dla tej zmiany przekonań, którą zresztą wszystko wokół mnie ułatwiało i pobudzało.

Wspomnijmy te smutne lata, u schyłku 19 wieku, epokę pełnego rozkwitu literatury naturalistycznej. Nigdy jarzmo materii nie ciążyło twardszym brzemieniem. Cokolwiek tylko w sztuce, w nauce, w literaturze cieszyło się wzięciem, było z gruntu areligijne. Wszyscy (rzekomo) wielcy ludzie tej epoki wyróżniali się w pierwszym rzędzie wrogim stosunkiem do Kościoła. Renan królował. On to przewodniczył ostatniemu rozdawnictwu nagród w liceum Ludwika Wielkiego, w którym brałem udział i ja, i zdaje mi się, że odznaczył mnie własnoręcznie. Victor Hugo zstąpił z widowni w apoteozie.

A więc, mając osiemnaście lat, wierzyłem w to, w co wierzyła większość tak zwanych wykształconych ludzi ówczesnych. Mocne pojęcie osobowości i konkretu było we mnie przyćmione w całej rozciągłości, wierzyłem, że wszystko poddane jest „Prawom" i że świat ten jest twardym zazębieniem przyczyn i skutków, które nauka rychło najgruntowniej rozplącze. Wszystko razem wydawało mi się zresztą nader smutne i nudne. Co do pojęcia imperatywu kantowskiego, które w nas wpajał profesor filozofii, F. Burdeau, przyznam się, że jakoś nigdy nie mogłem go strawić. Wiodłem zresztą życie niemoralne i stopniowo grzęzłem w rozpacz. Śmierć dziadka, którego na moich oczach przez długie miesiące toczył rak żołądka, napełniła mnie głębokim przerażeniem i myśl o śmierci nie opuszczała mnie odtąd ani na chwilę. Religia stała mi się czymś zupełnie obcym; nie miałem zresztą o niej zielonego pojęcia.

Pierwszy przebłysk prawdy dało mi zetknięcie z dziełami wielkiego poety, któremu jestem winien wdzięczność dozgonną i który na kształtowanie mojej myśli wywarł wpływ zasadniczy: mam na myśli Artura Rimbaud. Lektura „Zachwyceń," a parę miesięcy potem „Pobytu w Piekle" stała się dla mnie zdarzeniem kapitalnym. Po raz pierwszy książki te zrobiły wyłom w mojej katordze materialistycznej, dając mi wrażenie żywe i niemal fizyczne nadprzyrodzonego świata. Mimo to trwałem nadal w otępieniu i rozpaczy. Tak wyglądał biedny chłopiec, który w dniu 25 grudnia 1886 roku wstąpił do katedry Notre-Dame, by przyjrzeć się nabożeństwu. Właśnie wówczas zaczynałem pisać i sądziłem, że w katolickich obrzędach znajdę podnietę i materiał do dekadenckich gryzmołów.

W takim nastroju, potrącany łokciami i rozgniatany przez tłum, z mierną uciechą przetrwałem sumę. Popołudniu, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem na nieszpory. Chłopcy chóru katedralnego w białych komeżkach przy współudziale seminarzystów śpiewali właśnie, jak później się dowiedziałem, „Magnificat." Stałem w tłumie przy drugim filarze u wejścia do chóru, na prawo, po stronie zakrystii.

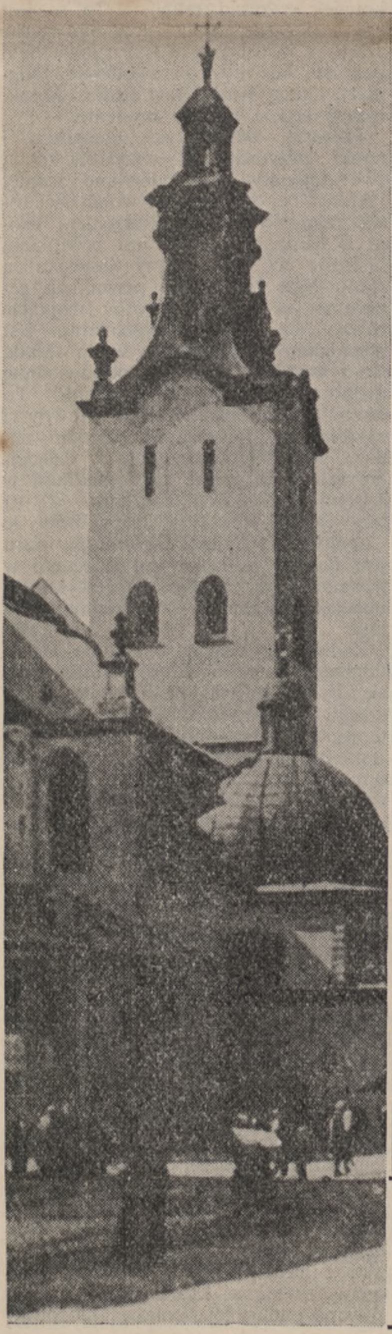
Wtedy to zdarzył się fakt, który przesądził o całym moim życiu. W mgnieniu oka serce moje zostało porażone i UWIERZYŁEM. Uwierzyłem z taką mocą przekonania, z takim porywem całego jestestwa, z przeświadczeniem tak dogłębnym, z taką oczywistością nie dopuszczającą cienia wątpliwości, że od tej chwili żadne książki, żadne dowodzenia, żadne przygody burzliwego życia nie zdołały zachwiać mojej wiary, czy też choćby jej naruszyć. Owładnęło mną nagle rozdzierające uczucie niewinności, wiekuistego dzieciństwa Bożego: niewysłowione doznanie!

Gdy próbuję, po raz niewiadomo który, odtworzyć sobie sekundy, które nastąpiły bezpośrednio po tej chwili niepojętej, znajduję takie tylko, porwane myśli, które wszakże stanowiły wówczas jeden błysk, jedną broń w ręku Boga, by porazić i rozewrzeć nareszcie serce biednego, zrozpaczonego chłopca: „jakżeż szczęśliwi są ci, którzy wierzą! — A gdyby to jednak była prawda? — To *jest* prawda! — Bóg istnieje, jest *tam*. To *ktoś* tak konkretny jak ja, osoba. — On kocha mnie, woła mnie." Z oczu moich trysnęły łzy, a rzewny śpiew kolędy „Adeste" potęgował jeszcze moje wzruszenie.

Wzruszenie jakżeż słodkie, choć zmieszane z uczuciem przestrachu i niemal grozy. Albowiem moje przekonania filozoficzne pozostały nietknięte. Bóg zlekceważył je po prostu; nie wiedziałem, co by można w nich zmienić, religia katolicka wydawała mi się nadal istnym stekiem niedorzecznych klechd, księża i wierni budzili we mnie tę samą odrazę, która dochodziła do nienawiści i niemal wstrętu. Gmach moich poglądów i wiadomości stał niezachwiany i nie widziałem na nim żadnej rysy. I tylko tak się złożyło, że wyszedłem zeń ja. Objawił mi się ktoś nieznany i groźny, z przeraźliwymi wymaganiami w stosunku do młodzieńca i artysty we mnie i ja nie wiedziałem jak go pogodzić z otaczającym mnie światem. Byłem jak człowiek, którego żywcem odartoby ze skóry i przeniesiono w obce ciało, w nieznany świat: oto jedyne porównanie, które narzuca mi się, ilekroć próbuję wyrazić ten stan dogłębnej rozterki. Co było najwstrętniejsze dla moich poglądów i dla moich upodobań, właśnie *to* było prawdą, właśnie z tym, chcąc nie chcąc, miałem się pogodzić.

Muszę się przyznać, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by stawić opór. Ten opór trwał cztery lata. Śmiem rzec, że była to piękna obrona, walka lojalna i na całego. Nie zaniedbałem żadnego środka: jedna po drugiej wysuwała mi się z ręki bezskuteczna broń. Był to największy przełom w moim życiu, ta „agonia myśli," o której Artur Rimbaud pisze:

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 2



Piękno kościołów polskich

Katedra katolicka obrządku łacińskiego we Lwowie

Seweryn EHRLICH

DO MOWY POLSKIEJ

Prześliczna mowo polska! Taka jesteś dobra
I dajesz się tak łatwo w łatwe wiązać rymy!
Z pobłażliwym uśmiechem przyglądasz się karłom,
Co dzięki Tobie wierzą, że rosną w olbrzymy
I niżą na sznureczki pochwycone słowa,
Aby przebić chmur pułap rozpaloną głową.

A tyś tak melodyjna, łaskawa i dźwięczna
Jak śpiew skowronka wiosną nad zoranym polem,
Jak babie lato lekka, jak leszczyna giętka,
Niebieska bławatkami, liliowa kąkolem,
Jest w Tobie ból i słodycz, rozpacz, gniew i troska,
Małe serce człowiecze i wielka myśl boska.

Poszłaś z nami na dziwną tułaczą wędrówkę,
Marzłaś w północnych borach, krzepłaś na pustyniach,
Byłaś nam wierną, pewną i czujną placówką,
W krajach piekła i raju nie dawałaś zginąć.
W zasięgu Twego głosu żyła nam ojczyzna
Wśród najstraszniejszej pustki, najdzikszej obczyzny.

Przepiękna mowo polska! Taka jesteś dobra!
Wybacz tym, co się stroją w listki Twego wieńca
I kładą na policzki odblask Twych rumieńców.
Długa i krwawa droga wiedzie do zwycięstwa —
I ci, co aby dożyć, na plastry Cię krają
I gwałcą Twoje piękno — oni Cię kochają.

„Walka duchowa jest tak brutalna, jak trud bitewny. Twarda noc! Wyschła krew dymi na obliczu!" Młodzi ludzie, którzy tak łatwo rzucają wiarę nie zdają sobie sprawy, jak ciężko ją odzyskać i za cenę jakich mąk! Idea piekła, a także myśl o tych wszystkich przyjemnościach i urokach, których musiałbym się wyrzec, oto główne moje hamulce na drodze do prawdy. A jednak zaraz owego pamiętnego dnia, w katedrze Notre-Dame, gdy nareszcie powróciłem do domu ulicami, które teraz oto wydały mi się takie inne, takie dziwne, wziąłem do rąk biblię protestancką podarowaną ongiś mojej siostrze Kamilli przez przyjaciółkę Niemkę i po raz pierwszy usłyszałem ten słodki i nieugięty głos, który odtąd nigdy już nie przestał rozbrzmiewać w moim sercu.

Znałem tylko przez Renana historię Jezusa i po myśli tego oszczercy nie wiedziałem nawet, że mienił się Synem Bożym. Każde słowo, każdy wiersz z dostojną prostotą zadawały kłam bezwstydnym twierdzeniom apostaty i zdzierały mi łuski z oczu. To prawda, wyznawałem wraz z setnikiem, tak, Jezus *jest* Synem Bożym. Mnie, Pawła wpośród wszystkich innych, poraził łaską; mnie przyrzekł swoją miłość. Lecz jednocześnie, o ile nie chciałbym iść za nim, nie pozostawiał mi innego wyjścia krom potępienia. Ach, nie trzeba było mi tłumaczyć czym jest piekło, sprawdziłem na sobie, co znaczy w nim „Pobyt!" Wystarczyło mi tych kilka godzin by zrozumieć, że piekło jest wszędzie, gdzie nie ma Pana Jezusa. Cóż mnie obchodził cały świat, wobec tego gościa natrętnego, który wdarł się w mój dom?

Tak mówił we mnie „nowy" człowiek, ale „stary" wierzgał ze wszystkich sił i nie chciał wyrzec się za nic tego życia, które stało przed nim otworem. Mamże być szczerym? W gruncie rzeczy najbardziej hamował mnie w wyznaniu moich nowych przekonań ludzki wzgląd. Na samą myśl, że będę musiał przyznać się do swojego nawrócenia, powiedzieć rodzicom, że chcę pościć w piątki, ogłosić się jednym z tych katolików tak zjadliwie wyszydzanych, oblewał mnie zimny pot; to też gwałt, jaki mi zadawano, budził we mnie rzetelne oburzenie. Lecz czułem na sobie twardą rękę!

Nie znałem w ogóle księdza. Wśród moich przyjaciół nie było ani jednego katolika. Zacząłem studiować religię z rosnącym zainteresowaniem. Rzecz znamienna! Dusza budziła się we mnie jednocześnie z talentem, naprzekór moim uprzedzeniom i dziecinnym lękom. Wtedy to właśnie napisałem pierwszą wersję dwu dramatów: „Złotą Głowę" i „Miasto." Choć jeszcze nie praktykowałem, już brałem udział w życiu Kościoła; oddychałem nareszcie i życie wstępowało we mnie wszystkimi porami. Spośród książek najbardziej dopomogły mi wówczas „Myśli" Pascala — dzieło nieocenione dla szukających wiary, choć wpływ jego niekiedy bywał szkodliwy; „Rozmyślania o Ewangelii" Bossueta oraz inne jego dzieła; poemat Danta i prześliczne opowieści Siostry Emmerich. „Metafizyka" Arystotelęsa wymiotła mi umysł i wprowadziła mnie w świat prawdziwego rozumu.

„Naśladowanie" było jeszcze na poziomie zbyt wysokim. Pierwsze dwie księgi wydały mi się okrutnie surowe. Lecz wielką księgą, która stała przede mną otworem, podręcznikiem moim szkolnym był Kościół. Niechaj będzie pochwalona na wieki ta Matka dostojna, u której kolan nauczyłem się wszystkiego, co umiem! Spędzałem niedziele w katedrze Notre-Dame, a w ciągu tygodnia wpadałem tam, jak mogłem najczęściej. Byłem wówczas nieukiem i tyle wiedziałem o swojej religii, co o buddyźmie: i oto święty dramat rozgrywał się przede mną z przepychem przerastającym wszelkie moje wyobrażenia. Ach, nie były to już ubogie ględy książek dewocyjnych, lecz najgłębsza, najwspanialsza poezja, najwznioślejsze gesty, jakie kiedykolwiek zostały zawierzone człowiekowi. Nie mogłem się napatrzeć widowisku mszy i każdy ruch księdza wrażał się głęboko w mój umysł i serce. Liturgia Zaduszek i Bożego Narodzenia, obrzędy Wielkotygodniowe, przecudny hymn „Exultet", przy którym najzawrotniejsze strofy Pindara i Sofoklesa wydawały mi się mdłe — wszystko to przepełniało mnie czcią, radością, wdzięcznością, skruchą i uwielbieniem!

Stopniowo, powoli i z trudem świtała w sercu moim myśl, że sztuka i poezja, to także boska rzecz, i że rozkosze zmysłowe nie tylko nie są tu nieodzowne, lecz przeciwnie, wręcz szkodliwe. Jakżeż zazdrościłem wiernym, którzy komunikowali! Co do mnie, ledwie śmiałem wślizgnąć się pomiędzy tych, którzy w piątki Wielkopostne całowali Koronę Cierniową.

Tymczasem lata mijały i położenie moje stawało się coraz nieznośniejsze. Modliłem się do Boga w tajemnicy i ze łzami, lecz nie śmiałem otworzyć ust. A jednak z każdym dniem trudności moje topniały, a Boże wymagania stawały się bardziej naglące. Ach, jakżeż dobrze znałem te chwile i jakżeż działanie jego w mojej duszy było mocne! Skąd wziąłem siły, by stawiać Mu opór! W trzecim roku przeczytałem „Pisma pośmiertne" Baudelaire'a i ujrzałem, że poeta, najbliższy mi wśród francuskich wieszczów, odnalazł wiarę w ostatnich latach swego życia i szamotał się z tymi samymi trudnościami i z tymi samymi wyrzutami, co ja.

Zebrałem się wreszcie na odwagę i pewnego popołudnia podeszłem do konfesjonału w moim kościele parafialnym, Saint-Médard. Chwile, w których czekałem na księdza, należą chyba do najcięższych w moim życiu. Ksiądz, poczciwy staruszek, niezbyt przejął się historią, która mnie wydawała się taka interesującą; mówił mi o „wspomnieniach swojej pierwszej komunii" (ku mojemu głębokiemu rozdrażnieniu) i kazał mi przed rozgrzeszeniem wyznać rodzinie swoje nawrócenie: w czym, dziś, muszę mu przyznać rację.

Wyszedłem z drewnianego pudła upokorzony i zagniewany, i powróciłem dopiero po roku, gdy zostałem ostatecznie przyparty do muru i doprowadzony do ostateczności. Tam, w tymże samym kościele Saint-Médard, zastałem młodego i miłosiernego kapłana, pełnego braterskiego współczucia, który pojednał mnie z Bogiem, później zaś księdza Villaume, który był moim kierownikiem i ojcem umiłowanym i którego opiekę z nieba, gdzie dziś się znajduje, wciąż czuję nad sobą. Po raz drugi w życiu przystąpiłem do komunii świętej w tymżeż samym dniu Bożego Narodzenia, 25 grudnia 1890 roku, w katedrze Notre-Dame.

PAUL CLAUDEL

Przełożyła:
MARIA WINOWSKA

Fulton J. SHEEN

RELIGIA BEZ DOGMATU

CZŁOWIEK współczesny szuka religii bez dogmatu. Dogmaty — powiada — przez wieki krępowały i przeszkadzały myśleniu. Przeżycie religijne, indywidualne potrzeby, mistyczna wyobraźnia — oto, co winno zająć miejsce przestarzałych wierzeń. Kościół katolicki rozwijając dogmaty i budując piramidę wierzeń, stał się zbyt skomplikowany i odszedł od przejmującej prostoty Kazania na Górze. Nie było w planach Pana Naszego — twierdzi się — tworzenia żelaznych prawd, krępujących i przytłaczających religię.

Jedynym sposobem ustalenia, czy Bóg zamierzał pozostawić religię z dogmatami, czy zdać wszystko na swobodne religijne przeżycie jednostki, jest wejrzenie w Jego życie, a zwłaszcza w moment, gdy stał przed sądem arcykapłańskim. Trybunałowi przewodniczył Kajfasz, charakter podły, człowiek, który szukał w religii nie prawdy, lecz kariery. Otaczali go kapłani. Z dwóch stron siedzieli pisarze; jeden zapisywał głosy za uniewinnieniem, drugi za skazaniem.

Nie można było ogłosić wyroku skazującego, dopóty zeznania świadków były sprzeczne. Ewangelia powiada, że wielki tumult panował na tym zgromadzeniu. Można sobie wyobrazić oskarżenia: jeden powiadał „On nazywał się królem"; drugi stwierdzał: „nieprawda, On jedynie pozwalał innym nazywać się królem." Trzeci wołał: „nie, wszak skoro chcieli obwołać Go królem, On uszedł." Jedni stwierdzali, że ich uleczył, drudzy przeczyli, mówiąc, że choroba powracała po uzdrowieniu i że uleczenie było magią. Tamci znów oskarżali Jezusa i Apostołów o nieskładanie ofiar w świątyni, trzeci zaprzeczali. Inni świadczyli, że Chrystus z uczniami nie święcił Paschy, na co znajdywali się świadkowie wieczerzy lub ci, co ją przygotowywali. Jeden z Ewangelistów powiada, iż oskarżano Chrystusa, że mówił: „Ja zburzę tę świątynię mymi rękami i w trzy dni ją odbuduję bez pomocy rąk" — na co znalazł się świadek, stwierdzający, że On rzekł tylko, iż: „wybuduję Nową Świątynię." I tak w koło. Zaprzeczenia rodziły zamieszanie. Brakowało podstaw do kary śmierci. Gdy w końcu przywrócono porządek, rozwścieczony Kajfasz zerwał się i podszedł na skraj podium. Jeśli świadkowie zawiedli, Chrystus sam musi dać dowód swej winy. Zwróciwszy się doń obłudny sędzia zapytał:

— Czyż nic nie odpowiesz na świadectwa przeciw Tobie?

Lecz Jezus milczał.

Milczenie miało wagę porywającej mowy. Milczał patrząc wielkimi i spokojnymi oczyma wprost w twarz swych morderców i sądził ich na wieki. W ułamku chwili każdy z nich potępiony został tym milczącym spojrzeniem, które wnikało do głębi serc. Policzki starego kapłana rozgorzały gniewem.

— Jeśli nie chcesz mówić, ja cię przymuszę! I oto Kajfasz z całą urojoną powagą, na jaką mógł się zdobyć, rzucił pytanie, które istotnie ważyło; pytanie nie dotyczące spraw ludzkich, wymagające odpowiedzi, jak żadne inne; i to nie wymijającej odpowiedzi bojaźliwego polityka, lecz zwartej, twardej, bezwzględnej; pytanie, które wstrząsnęło zebranymi:

— Zaklinam cię na Boga Żywego, powiedz, zaliś ty jest Chrystus Syn Boży?

Kapłani, faryzeusze, skrybowie i uczeni Izraela wiedzieli, że to oznacza: „czy Ty jesteś Tym, którego zapowiadali prorocy, że przyjdzie na świat, jako Bóg Zbawca?" Wszyscy porwali się z miejsc i zaciśnięte dłonie wyciągnęli ku Niemu.

Jezus czekał chwilę nim cisnął w ich zmącone nienawiścią oczy swą straszną tajemnicę. Zapadło wyczekujące milczenie, w którym złowrogo słychać było odległe pianie kura. I odpowiedź:

— Tyś powiedział. Jam jest. I zaprawdę powiadam wam, oto ujrzycie Syna Człowieczego siedzącego po prawicy Ojca i zstępującego z obłoków.

Dał kategoryczną odpowiedź; określił siebie; wypowiedział Prawdę, nagą Prawdę, bezwzględną. Określił dogmat.

Zadowolenie zalało twarz Kajfasza. Nareszcie zatryumfował. Pierś wezbrała radością zwycięstwa. Piskliwym głosem starca zawołał:

— Bluźni, czyż potrzeba nam świadków?

I wyciągnąwszy nóż z za pasa, udając rozpacz, rwał szatę kapłańską i darł ją w strzępy. A za nim inni targali szaty.

— Zaprawdę, słyszeliśmy bluźnierstwo, cóż sądzicie?

A głosy zgrai odpowiadały:

— Winien śmierci.

Winien śmierci? Tak. Bo był zbyt dogmatyczny.

Przypuśćmy, że na pytanie Kajfasza Chrystus odpowiedziałby:

— Jestem daleki, Kajfaszu, od jakiegokolwiek nakładania dogmatów, tyczących mej Boskości na was i na wasze potomstwo. Nie pragnę wiązać waszej duchowej wolności dogmatem, że jestem Synem Bożym. Religia winna być wolna od dogmatów i religijne przeżycie winno każdemu mówić, czy Ja jestem Bogiem, czy też tylko człowiekiem.

Jeśli odrzekłby w ten sposób, czyż myślicie, że Kajfasz by Go potępił? Gdyby był liberalny, jak tego żąda świat nowoczesny, czyż Kajfasz wydałby go Piłatowi? Jeśliby nie był dogmatyczny w sprawie swej Boskości, nie zawisłby na krzyżu.

*

Nim niewierzący świat rozedrze swe szaty w świętym oburzeniu na dogmaty, niech posłucha przez chwilę odpowiedzi Kościoła na oskarżenie o dogmatyzm. Przede wszystkim w przeciwieństwie do nowoczesnych kaznodziejów, Kościół uważa, że nie może być religii bez dogmatów. Twierdzenie, że religia winna obchodzić się bez dogmatów, jest samo w sobie dogmatem i to takim, który wymaga o wiele więcej uzasadnienia, niż którakolwiek z zasad religii. Co to jest dogmat? Jest to idea i w tym sensie człowiek bez dogmatu jest człowiekiem bez idei, bez myśli przewodniej. Dogmaty muszą istnieć tak długo, dopóki istnieć będzie zdrowe myślenie.

Historia, matematyka, geografia i nauki przyrodnicze, wszystkie mają swe dogmaty, swe oderwane zasady i idee. To, że pierwsza wojna światowa zakończyła się zawieszeniem broni w listopadzie 1918, jest pewnikiem historii; to, że Albany jest stolicą stanu New York, jest pewnikiem geografii; że suma kątów w trójkącie równa się kątowi półpełnemu, jest pewnikiem geometrii; że woda składa się z wodoru i tlenu, w odpowiedniej proporcji, jest pewnikiem chemii. To wszystko to olśniewające prawdy i niezbite zasady różnych dziedzin nauki. Podobne twierdzenia w dziedzinie religii nazywane są dogmatami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Że są trzy Osoby Boskie a Jeden Bóg, że Chrystus jest Synem Bożym, że wiara jest darem, że łaska jest udziałem w naturze Boga, że Kościół jest kontynuacją Wcielenia — to dogmaty religii.

Żądać, by religia wyzwoliła się z dogmatów, to to samo, co domagać się, by ciało było pozbawione kości, sztuka — proporcji lub kształtów, literatura — gramatyki. Ja wiem, jest tysiące osób, których miękkie umysły łatwo chwytają ssącą abstrakcję lepkiego hasła „ja wierzę w religię, ale odrzucam teologię," ale to jest tylko hasło. Taki człowiek mógłby równie dobrze powiedzieć „ja wierzę w składniki chemiczne, ale odrzucam chemię," albo „uznaję zdrowie za rzecz dobrą, lecz nie chcę słyszeć o trawieniu, witaminach, asymilacji." Jest to równie bezmyślne jak powiedzenie: „chcę być technikiem, ale skończmy wpierw z laboratorium i techniką."

Jedyną różnicą między dogmatami religii i nauki jest to, że gdy te ostatnie są oparte o autorytet omylnych ludzi, dogmaty Kościoła poparte są Boskim Objawieniem. Nie jest problemem religijnym to, czy religia będzie wolna od dogmatów czy też nie, ponieważ sam fakt myślenia już stwarza dogmaty. Istota rzeczy tkwi w tym, czy przyjmujemy dogmaty ze słyszenia, z hasełek dnia i pobożnych życzeń, czy też te, które zostały wypracowane inteligencją pokoleń filozofów,

świętych i mistyków. Osobiście nie widzę, dlaczego ktoś miałby godzić się na autorytet Darwina, a odrzucać Izajasza, lub też przyjmować prawdziwość najnowszej wiedeńskiej teorii płci, a zapoznawać powagę dwudziestu wieków chrześcijańskiej tradycji; względnie przekładać autorytet H. G. Wells'a nad Prawdę Jezusa.

Nowoczesny człowiek musi sam zadecydować, czy chce mieć religię z myślą czy bez. Wie, że pozbawiona myśli polityka prowadzi narody do zguby; czyż nie powinien zastanowić się, że bezmyślna religia kończy się o wiele większym zamętem. Problem jest prosty. Nowoczesny człowiek ma przed sobą dwie mapy: jedną — sentymentalnej religii, drugą — religii z dogmatami. Pierwsza jest łatwa. Nakreślona w ciągu ostatnich kilku lat, przez młodego i niedoświadczonego topografa, który nie uznaje określonych kierunków i dróg. Sądzi, że każdy człowiek winien znaleźć swą własną drogę i że dogmatyczne wskazówki nie powinny mu odbierać wolności. Druga mapa jest bardziej skomplikowana. Kreślili ją topografowie, którzy każdy cal drogi szli wiekami i znają najmniejszy zakręt czy przepaść. Radzą dogmatycznie „nie idź tędy — bo tam jest przepaść" lub „idź tamtędy; chociaż zrazu ścieżka jest stroma doprowadzi cię do wygodnej drogi biegnącej szczytem." Prosta mapa jest łatwa do odczytania, lecz ci, którzy jej używają, gubią się w bagnie sentymentalizmu. Mapa druga wymaga pilnego czytania, lecz okazuje się w rezultacie prostą, gdyż prowadzi poprzez skalistą ścieżkę wzgardy świata ku wiecznym szczytom, gdzie jest siedziba Stwórcy, Tego Samego, który na zawsze utożsamił pokój z wiedzą: „Poznaj Mnie, a znajdziesz pokój duszy."

Leży w naturze człowieka wypracowywanie myśli i kiedy układa myśli, prawdy, doktryny, dogmaty w zwarty uporządkowany sposób tak, by stworzyć pełny, jednolity i harmonijny system, sam staje się bardziej ludzki, staje się pełniejszym człowiekiem.

Jeśli zaś, ulegając fałszywym wołaniom o postęp, zarzuca dogmaty, zrywa z pamięcią przodków, przeczy intelektualnej puściźnie, wołając o religię bez dogmatów, to zastępuje misterium mgławicą, bierze sentyment za treść i zsuwa się wolno, lecz nieubłaganie w bezmyślność kamieni i nieodpowiedzialną nieświadomość wegetacji roślin.

Tłumaczył
J. J.

Jędrzej GIERTYCH

ZIEMIE ZACHODNIE

PRAWO DO REKOMPENSATY

CZY naród polski ma prawo do rekompensaty od narodu niemieckiego? Do rekompensaty tak wielkiej, jak oddanie rozległych terytoriów, ogołoconych z ludności?

Rozpatrzmy, na czym prawa narodu polskiego do zadośćuczynienia polegają.

Przede wszystkim: w ostatniej wojnie naród niemiecki wyrządził nam szereg szkód bezpośrednich. Nie tylko zbrojnie na nas napadł i naraził nas na te wszystkie straty i nieszczęścia, jakie każda wojna za sobą pociąga, a co wedle ustalonego zwyczaju w stosunkach międzynarodowych, zwłaszcza przez Niemców, jeśli byli zwycięzcami, pilnie stosowanego, rodzi prawo do odszkodowania. Nie tylko nas, w czasie swojej okupacji, niemiłosiernie zrabował, złupił, ogołocił z dóbr materialnych, wyeksploatował pod postacią prawie bezpłatnej robocizny milionowych rzesz przymusowych robotników. Ale ponad to stosował wobec nas na olbrzymią skalę planową, na zimno pomyślaną akcję wyniszczenia nie stawiając sobie nawet za cel w tym wypadku — wzbogacenia własnego, lecz dyktowaną zamiarem czysto niszczycielskim unicestwienia nas, jako narodu, wyniszczenia biologicznego, obniżenia kulturalnego, zrujnowania materialnego. Miliony Polaków i polskich obywateli, nie tylko żołnierzy, nie tylko mężczyzn w sile wieku, ale także kobiet, starców, dzieci, niemowląt zostały bestialsko wymordowanych.

Nasze miasta — z Warszawą na czele — nie tylko uległy zniszczeniom wskutek działań wojennych, ale padły ofiarą systematycznego burzenia, nie dyktowanego żadnymi innymi motywami prócz dążności niszczycielskiej. Nasze wsi zostały popalone, fabryki poburzone, mosty powysadzane w powietrze, lasy powyrąbywane, nasze pola przez podminowanie zamienione na nieużytki, biblioteki, muzea, zabytki architektury popalone lub zrabowane.

Również i szkody, których doznaliśmy ze strony Sowietów, a także i z powodu rzezi ukraińskich, są pośrednio spowodowane przez Niemców, gdyż są skutkiem wywołanej przez nich wojny.

Wszystko to rodzi dla nas prawo do odszkodowania. Zniszczeń tak potwornych, tak brutalnych, tak niczym nie usprawiedliwionych, nie znają dzieje świata. Zwykła, stosowana po zakończeniu wojen, metoda odszkodowań w gotówce i świadczeniach, jest tu nie wystarczająca.

Czy jest, na przykład, rzeczą możliwą, by Niemcy zapłacili w gotówce odszkodowania za zburzenie Warszawy?

Warszawa miała przed wojną 1.200.000 mieszkańców (w czasie wojny nawet z górą półtora miliona). Dzisiaj ma ich ona nie wiele ponad pół miliona. Co się stało z resztą? Setki tysięcy zostało wymordowanych, ale przecież nie wymordowano siedmiuset tysięcy, ani tymbardziej miliona. Jak można tej reszcie zapewnić egzystencję? Usunięcie ludności z Wrocławia czy Szczecina na to, by Warszawiakom zrobić miejsce, wydaje się metodą bardzo sprawiedliwą. — A przecież straty ponieśli nie tylko ci warszawiacy, którzy Warszawę opuścili. Ponieśli je także i ci, co zostali na gruzach miasta. Zubożeli, potracili swe domy, meble, pamiątki rodzinne, narzędzia pracy — utracili to, co stanowiło urok ich życia: piękno architektoniczne swego miasta, jego szczęście i blask; — utracili niezliczoną liczbę swych bliskich. Przyłączenie Ziem Zachodnich pośrednio poprawia i ich położenie, przynosi Warszawie różne korzyści materialne, co jest i ich korzyścią.

To samo, co o Warszawie — da się w stosownej proporcji powiedzieć o każdym innym polskim mieście i o każdej polskiej wsi.

Ale na tym nasze prawo do odszkodowania nie kończy się.

Po pierwsze, szkody i krzywdy, spowodowane przez naród niemiecki w latach 1939—1945 nie są wypadkiem odosobnionym, ale są szczególnie jaskrawym momentem w procesie, który trwa tysiąc lat. Od tysiąca lat Niemcy nas palą, rabują, mordują — i dotychczas żadnych odszkodowań za to nie otrzymaliśmy. Kalisz w roku 1914 został zburzony i zmasakrowany całkiem po hitlerowsku; również w latach 1914—1918 Niemcy rabowali nasze fabryki, palili nasze wsi, rąbali lasy, wywozili naszych robotników, przymusowo zabierali nasze wiejskie dziewczęta do domów publicznych na użytek swego wojska. Nie inaczej postępował Fryderyk, zwany Wielkim. I — wespół ze Szwedami — t. zw. Wielki Elektor. I Krzyżacy. I margrabiowie brandenburscy. I Barbarossa. I Henryk II. Na obecne wielkie „restitutio ad integrum" winy i zbrodnie niemieckie gromadziły się w ciągu lat tysiąca. Czara się dzisiaj przelała — i za jednym zamachem spadła kara również i za winy dawne, które bez winy najświeższej byłyby zapewne zapomniane.

Po wtóre, źródłem roszczeń naszych wobec narodu niemieckiego, obok faktów teraźniejszych i przeszłych jest także troska o przyszłość; — troska której wynikiem jest żądanie już nie odszkodowań, ale zabezpieczeń.

Doświadczenie zarówno poprzedniego tysiąclecia, jak i pięciu lat ostatniej wojny, wykazało, iż naród niemiecki nie jest skłonny żyć z nami w poprawnych stosunkach sąsiedzkich. Jego zamiarem wobec nas — było i jest wyniszczenie. Jeśliśmy mogli mieć jakieś złudzenia co do tego, co od Niemców może nam grozić, to ostatnia wojna złudzenia te rozwiała. Cały naród polski wie dziś, iż ze strony Niemiec grozi nam, zarówno zbiorowości, jak i jednostkom z osobna wziętym, niebezpieczeństwo śmiertelne. Symbolem tego niebezpieczeństwa jest piec krematoryjny. W jednym tylko obozie oświęcimskim dzienna wydajność tego pieca wynosiła 20.000 trupów. A budowano w tymże Oświęcimiu i gdzieindziej nowe, dużo większe jeszcze piece; budowano je nadal, gdy Żydów już prawie nie było.

Bylibyśmy ślepi, gdybyśmy nie rozumieli, że budowano je dla nas. I, że zamiarem niemieckim na czas po zwycięskiej wojnie było wytępienie nas, jako narodu. Wytępienie nas taką metodą, jaką ciż sami Niemcy wytępili Żydów, a jaką Turcy wytępili Ormian.

W obliczu takiego niebezpieczeństwa mamy prawo się bronić! Mamy prawo zastosować środki radykalne, o charakterze obrony koniecznej. Żadne rozumowania o tym, iż to nie naród niemiecki, jako taki, ale „partia hitlerowska" nas mordowała, tego naszego prawa nie osłabiają.

W niemieckich zbrodniach w Polsce brały udział nie jednostki, nie setki jednostek, ale wielkie rzesze niemieckiego narodu. Jeszcze większe rzesze zbrodnie te aprobowały. Najuczciwsze żywioły w narodzie niemieckim, m. in. liczne rzesze katolików — o ile nawet wręcz w zbrodniach tych nie brały bezpośredniego udziału (co czyniły nieraz, posługując się instynktem ślepego posłuszeństwa), to — w najlepszym razie — były najzupełniej bierne. Nic nie wiemy o tym, by jacykolwiek Niemcy stawali odważnie i śmiało w naszej obronie i by, na przykład, w obronie tej i w obronie pogwałconych praw Bożych — ponosili śmierć męczeńską; — ponosili ją tak, jak wielu Polaków, nie wyłączając polskich antysemitów (Jan Mosdorf!) — ponosiło ją w obronie mordowanych Żydów.

Co więcej! Nie widzimy dziś w narodzie niemieckim — nawet w jego katolickim odłamie najlżejszych oznak rzeczywistej i będącej nadzieją poprawienia się skruchy. Mamy prawo być nieufni — i na to, że naród niemiecki poprawi się, nie liczyć. Musimy, troszczyć się o swoje przyszłe bezpieczeństwo — i zastosować środki, które to nasze bezpieczeństwo zwiększą.

Jakież to mogą być środki?

Najlepszym środkiem byłoby zmniejszenie dysproporcji liczebnej między nami, narodem liczącym łącznie z asymilującą się ludnością ziem wschodnich — 35 milionów głów, a Niemcami, liczącymi blisko 80 milionów. Jest to cel na bliższą metę nieosiągalny. Na dalszą metę służy nam w pewnym stopniu zwiększenie na swej „przestrzeni życiowej," sprzyjające zwiększonej rozrodczości.

Realnym natomiast i bezpośrednim środkiem jest poprawienie naszej pozycji geograficznej przez wyrównanie granic.

W roku 1939 mieliśmy granicę z Niemcami długości blisko 2.000 kilometrów. Była to granica otwarta, nie oparta o przeszkody naturalne, obejmująca nas z trzech stron śmiertelnym uściskiem wysuniętej łapy śląskiej i wyspy wschodniopruskiej. Jak dalece długa i niebezpieczna była to granica, niech zaświadczy porównanie z Francją, która miała z Niemcami granicę, długości mniej niż 400 klm i to w połowie opartą o barierę Renu.

Tak kapryśna granica, jak granica polsko niemiecka z lat 1919 do 1939 możliwa jest tylko między sąsiadami, żyjącymi w absolutnej zgodzie. Doświadczenie wykazało, że Polska musi mieć od strony Niemiec granicę o wartości strategicznej. Możliwe w tej części Europy granice strategiczne mogą się opierać albo o Wisłę — co jest równoznaczne z unicestwieniem polskiego narodu, albo o Nissę Łużycką i Odrę. Po doświadczeniach ostatniej wojny nie mamy innego wyjścia jak szukać właśnie tej ostatniej granicy. Ma ona długość właśnie około 400 kilometrów, opiera się na całej niemal długości o bariery wielkich rzek, oraz utrzymuje lewym skrzydłem łączność z osłanianym przez łańcuchy górskie czeskim sąsiadem. Mając taką granicę, możemy się skutecznie przed Niemcami bronić. Możemy również mieć nadzieję, że nasze stosunki z nimi z biegiem czasu jakoś się ułożą. Bo granica z r. 1939 była geograficznym absurdem i pokusą dla nich dla ekspansji, a granica dzisiejsza, jeśli potrwa dłużej, ustanawia stan rzeczy o cechach logicznego ładu, z którym na dalszą metę, jest się łatwiej oswoić.

Ale, aby granica Odra—Nissa była rzeczą możliwą, konieczne było przesiedlenie ludności. Powtórzyło się tu to, co już raz historia Europy widziała, mianowicie na drugim jej krańcu. Po wiekach muzułmańskich najazdów, rzezi i ucisku, naród hiszpański zdecydował się w końcu uwolnić od niebezpieczeństwa raz na zawsze. Odzyskał w r. 1492 granice naturalne, odbierając Maurom terytoria, które były w ich ręku od z górą siedmiu stuleci — i aby swe posiadanie granicy naturalnej utrwalić, ludność muzułmańską ze zdobytych terytoriów wysiedlił.

Były to środki drakońskie. Ale czy środków tych przedsięwziąć naród hiszpański nie miał prawa?

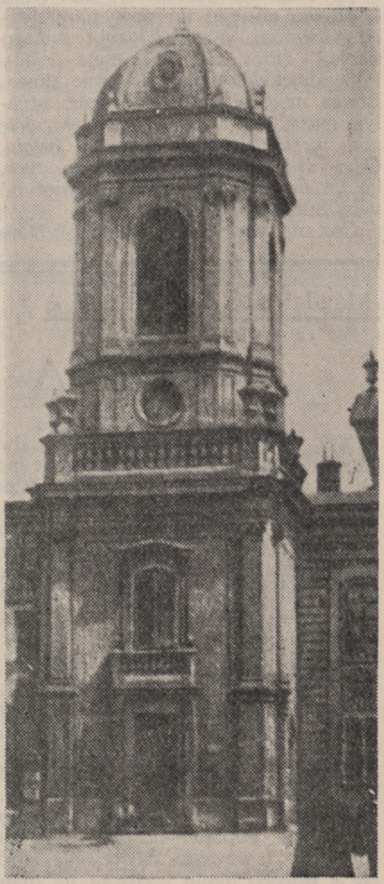
Wydaje się, w świetle dziejowych doświadczeń i swej sytuacji, że miał prawo najzupełniejsze. Miał tak samo, jak dziś my je posiadamy.

JĘDRZEJ GIERTYCH

Ks. Prałat Michalski — Protonotariuszem Apostolskim

Ojciec św. Pius XII obdarzył wysoką godnością kościelną Protonotariusza Apostolskiego — Ks. Prałata Bronisława Michalskiego, Wikariusza Generalnego i Szefa całego Duszpasterstwa PKPR w Wielkiej Brytanii.

Do gratulacji, które Przew. Ksiądz Prałat zewsząd otrzymał, dołącza ŻYCIE swoje gratulacje jak najserdeczniejsze.



Piękno kościołów polskich

Barokowa wieża Kościoła Dominikanów we Lwowie

Arcybiskup Paryża
J. Em. Ks. Kardynał
E. C. SUHARD

LIST PASTERSKI (7)

CHRZEŚCIJAŃSKI OPTYMIZM

JAKŻEŚMY daleko, Bracia Najmilsi, od tego portretu chrześcijanina, którym szafuje się dziś tak chętnie: nieufny i bezbronny wobec tego co jest, społecznie jałowy[1]). Zgoła przeciwnie, Chrystus sądzić nas będzie wedle naszych uczynków, konkretnych, rzeczywistych: „Byłem głodny i nakarmiliście mnie... byłem w więzieniu i nawiedziliśmie mnie...'' (Mat. 25, 31—46).

Droga, którą wytyczył nam Kościół nie jest inna: angażuje nas do dna. Cóż może być bardziej religijnego jak „rozrastać się i brać w posiadanie ziemię,'' przez pracę i odkrycia naukowe, by z kolei oddać ją Stwórcy, jako żertwę ofiarną? „Stwórca wszechrzeczy złożył w ludzkim sercu nieprzeparty głód szczęścia, którego szukamy już tu, na ziemi, i katolicyzm pochwala wszystkie słuszne wysiłki prawdziwej cywilizacji i dobrze pojętego postępu dla doskonalenia i rozwoju ludzkości'' (Pius XI, „*Caritate compulsi*,'' 1932). „Źle by tłumaczył słowa nasze, skierowane przeciw materializmowi — precyzuje ze swej strony Pius XII — ktoby wywodził z nich potępienie postępu technicznego. Nie, my nie potępiamy tego, co jest darem Bożym. Wszak tworząc świat, Bóg ukrył w trzewiach ziemi skarby, które człowiek winien dobywać dla zaspokojenia swych potrzeb, dla swojego postępu'' (Pius XII, Orędzie gwiazdkowe 1941). *Nie bójcie się być mniej chrześcijanami, będąc więcej ludźmi.* Wszelka nowa zdobycz wydarta światu, to nowa dzierżawa włączona do uniwersalnego włodarstwa Chrystusa Króla. Apel Papieża jest niedwuznaczny: „Kościołowi nie wolno trwać w bezwładzie, zamykając się w tajnikach swoich świątyń; nie wolno mu być dezerterem i zaniedbywać powierzonej mu przez Opatrzność misji, kształtowania człowieka pełnowartościowego'' (Pius XII, przemówienie do nowomianowanych kardynałów, 20 lutego 1946).

„A więc do dzieła, synowie najmilsi, do pracy... Nie trwajcie bezwładnie wśród gruzów. Wynijdźcie na odbudowę nowego świata społecznego dla Chrystusa...'' (Pius XII, Gwiazdka 1943). Program jest jasny: nie tylko „Obecność wpośród świata,'' ale również „Postęp.'' „Dla chrześcijanina, który waży sobie postęp duchem Chrystusowym, nie może być mowy o powrocie ku przeszłości, lecz tylko o prawie postępu ku nowym, przyszłym formom, o prześciganiu samego siebie.'' (Pius XII, 13 maja 1942). Podejmujemy z kolei też same słowa, Bracia najmilsi, żeby wam rzec z całym naciskiem: *idźcie naprzód, pracujcie nad kształtowaniem nowego świata. Gdyż świat będzie należeć do tych, co „zdobędą go'' pierwsi.* A więc od was zależy Wiosna Kościoła.

Cóż macie czynić w praktyce? Oto pytanie, jakie stawiał sobie Paweł święty, na drodze do Damaszku: „Panie, co chcesz, żebym czynił?'' I odpowiedź przyszła odrazu: „Wstań, wnijdź do miasta'' (Dz. Ap. 9). Wnijść do miasta, stać się czynnym obywatelem, to program dwojaki.

ZADANIA INTELIGENCJI

Wspomnieliśmy już w ogólnym zarysie o roli inteligencji w kształtowaniu tej „Syntezy katolickiej,'' która ma pojednać Tradycję z Postępem, Transcendencję i Wcielenie. Musimy z kolei sprecyzować poszczególne zadania, jakie stawia przed nią ta misja dostojna.

SŁUSZNA AUTONOMIA

Przypomnijmy nasamprzód, że musi to być praca *niezależna*. „Kościół nie ma zamiaru opowiadać się „za'' lub „przeciw'' pewnym szczegółowym i konkretnym formom, wedle których narody i państwa usiłują rozwiązać zawiłe problemy organizacji wewnętrznej, jak i współpracy międzynarodowej, *byle tylko te rozwiązania szanowały prawo Boże*'' (Pius XII. Orędzie Gwiazdkowe 1942). Nie jest misją Kościoła rozwiązywać bezpośrednio problemy z zakresu techniki. Pozostawia on, poszczególnym kompetencjom należną im autonomię; nie daje się wprzęgnąć w rydwan żadnego systemu, naukowego, społecznego czy politycznego; pozostawia chrześcijanom swobodę wyboru i badań naukowych. Otóż badania te mają metody sobie właściwe, przedmiot ściśle zakreślony. Dystynkcja to nieodzowna, jeśli chce się uniknąć pomieszania „królestw''(a). Nie należy więc spodziewać się od Kościoła czegoś, czego ani chce, ani może zrealizować: ożywia on wszystko, ale sam nie kształtuje cywilizacji[2]). Nie on rzutować będzie struktury jutra: nazbyt szanuje zarówno prawa jak i wolną inicjatywę człowieka.

INICJATYWA MYŚLICIELI

Ale to, czego Kościół nie może dokonać sam, mogą i winni dokonać chrześcijanie. Ponieważ są także i z tego świata, mają prawo tak, jak inni, uczestniczyć we wszelkim poszukiwaniu prawdy, we wszystkich rozprawach, we wszelkim przekształcaniu struktur państwa, którego i oni są obywatelami. „Synowie światłości'' są wielokrotnie mniej obrotni od „synów ciemności'': stwierdzając ten fakt, Mistrz nie czyni zeń przykazania. Zacofanie może być faktem, ale to nie cnota!

To też zadaniem waszym, Uczeni, nie jest nadążać w ogonku, lecz stanowić awangardę. Nie dość naśladować: trzeba tworzyć!

BADANIA NAUKOWE W ŚCISŁYM TEGO SŁOWA ZNACZENIU

Przedmiotem waszych badań będzie nasamprzód czysta Prawda i wiedza bezinteresowna. Będziecie szukać Prawdy dla niej samej, nie troszcząc się o jej praktyczne zastosowanie. Będziecie przenikać coraz głębiej tajniki przyrody, które są ciągłym apelem ku szukaniu wzwyż, aż do Boga. Zbierzecie konkluzje waszych poszczególnych specjalności, i spróbujecie nakreślić kosmiczną wizję wszechświata. Do wysiłków tych nie włączycie żadnej domieszki względów interesownych, choćby apologetycznych: będziecie badać TO CO JEST. Lojalność wasza będzie iść w parze z szerokością umysłu i będziecie współpracować rzetelnie z tymi wszystkimi — czy będą to wierzący, czy niewierzący — którzy szukają prawdy „całą duszą.'' Bez wahania i bez reszty w „radości poznania'' poświęcicie się waszemu „powołaniu uczonych.''[3])

W KSZTAŁTOWANIU PAŃSTWA

Ale nie będziecie się też wahać, gdy przyjdzie stosować wasze badania w dziedzinie cywilizacji. O cóż bowiem chodzi? O to, by zbudować nowy świat, by zdefiniować i ukształtować struktury, które by pozwoliły człowiekowi być pełniej człowiekiem, w państwie, które by go było godne, by przekształcić wszystko co jest na tworzywo chrześcijańskiego świata[4]).

Niebotyczny to program i przerastający niewspółmiernie wysiłki jednego pokolenia! Wymaga on pracy w dwojakim kierunku.

Przede wszystkim — wysiłku analitycznego. Musicie wypowiedzieć się na temat współczesnej cywilizacji poto, by ją osądzić, napiętnować lub poprawić. Jak mówiliśmy niedawno[5]) winniście zrobić obiektywny bilans naszej „cywilizacji wielkomiejskiej'' współczesnej, z jej olbrzymimi skupiskami i ciągłym rozrostem; ze skazami jej nieludzkiej produkcji, niesprawiedliwego podziału dóbr, wyczerpujących rozrywek. Potem, wysiłkiem syntetycznym i biorąc jako punkt wyjścia błędy obecne, ale również i zwłaszcza aspiracje i nadzieje naszej epoki, nakreślicie rozległy plan „urbanistyczny'' i humanistyczny, ujęty z punktu widzenia i w zależności od człowieka, od jego uzdolnień i potrzeb. Cała „summa'' waszych prac nagromadzonych winna służyć tej gigantycznej syntezie przyszłego świata. Nie bądźcie nieśmiali. Ale brońcie, wymagajcie, narzucajcie w imię nauki, w której nikt nie powinienby wam dorównać, waszą mistrzowską i wyzwalającą koncepcję świata i człowieka.

ZACZYNAJĄC OD CZŁOWIEKA

W tych badaniach, w tych reformach wy jedni będziecie prawdziwymi „humanistami,'' gdyż wy jedni będziecie mogli dostarczyć tworzącej się cywilizacji słusznych norm i pełnowartościowej koncepcji człowieka.

Tylko i wyłącznie chrześcijańskie ujęcie natury ludzkiej nie doprowadzi nigdy do odczłowieczenia człowieka. Zamiast dopuszczać, żeby miażdżyła go technika pod pretekstem, że go wyzwala, zamiast brać za punkt wyjścia postęp techniczny, jako dobro samo w sobie, usprawiedliwiające wszystkie ofiary doraźne i jednostkowe, będziecie zawsze zaczynać od samego człowieka, który jest samoistną „osobą.'' *Dla niego* to buduje się państwo. Dla niego — ponieważ państwo przeminie, gdy on trwać bę-

[1]) „*Chrześcijanin nie jest tchórzem, który boi się żyć pełnym życiem; ani człowiekiem słabym, którego nie stać na radość; ani kimś rozgromionym. To człowiek o jasnym wejrzeniu, wnikliwy i zdecydowany, który wie, że wszystko musi być oczyszczone, natura praca, miłość, osobowość cała; i że z Chrystusem zdolny jest wszystko oczyścić*'' (J. Mouroux o. c. str. 21).

a) **Aluzja do znanego tekstu ewangelii: „oddajcie co cesarskiego, Cesarzowi, a co Bożego, Bogu''** (Mat. 22, 21) przyp. tłum.

[2]) „*W zakresie prawa Bożego, które obowiązuje wszystkich i obejmuje swym autorytetem nie tylko jednostki, lecz i narody, istnieje szerokie pole i wielka swoboda ruchów dla form najróżnolitszych... jest ono stróżem i mistrzem zasad wiary i moralności... Jedyną ambicją i jedynym pragnieniem Kościoła jest przekazywać wszystkim narodom bez wyjątku, przy pomocy swych środków pedagogicznych i religijnych, jasnego źródła schedy i wartości chrześciiańskiego życia, aby każdy naród, w stopniu odpowiadającym jego cechom specyficznym, korzystał z doktryny i z zasad etycznych i religijnych chrześcijaństwa, celem utworzenia społeczności, godnej człowieka... i podstawy prawdziwego dobrobytu*'' (Pius XII, Orędzie Gwiazdkowe 1940).

[3]) P. Termier. *Na ten temat cf. przemówienie Piusa XII do grupy profesorów i studentów francuskich,* 24 *kwietnia* 1940 *r. o „Radości Poznania'': „Radość ta jest w waszym zasięgu: nie pogardzajcie nią... Nawet w waszych poszczególnych specjalnościach wyróżnicie się w tym stopniu, w jakim rozszerzycie swój widnokrąg.''*

[4]) „*Chciałbym — pisze Orygenes — żebyś użył całej mocy swej inteligencji na rzecz chrześcijaństwa, które winno być twoim najwyższym celem. By dosięgnąć go tym łatwiej, pragnę byś zaczerpnął z filozofii greckiej całokształtu wiedzy, która posłużyłaby ci za wstęp do chrześcijaństwa*'' (list do Grzegorza Taumaturga).

[5]) *Do lekarzy i studentów „Conference Laennec,* 15.*XI*.1946.

Magdalena ZAŁUSKA

ŚWIĘTA JOHANNA D'ARC

1)

W HISTORII krzyżują się dwie linie, na śmierć i życie zrękowione: pozioma, złożona z faktów widzialnych, podlegających jasnym, przyczynowym związkom, wolą człowieczą zawarowanych; i linia prostopadła, w górę i w głąb, gwarantująca udział Boży w dziejach — lecz i udział szatana, który, chcąc nie chcąc, służy zamysłom Bożym. Gdyż triumfy „książęcia tego świata'' są w ostatniej instancji zawsze tylko triumfami krzyża. Przygważdżając doń Syna Człowieczego stał się on narzędziem Odkupienia.

Bóg zawsze w końcu złe obraca w dobro („etiam peccata...'') i to jest największy tragizm szatana, druzgotanego bronią, którą walczy. Zło w świecie jest jak niewolnik, nawadniający pustkowia; cierpienie, to zawsze znak krzyża. I dlatego trudno mówić o jakowychś „gesta diaboli.'' Są tylko „Gesta Dei,'' dzieje Boga, triumfatora, poprzez człowieka, poprzez narody: per Polonos, per Francos. I wówczas nawet, gdy naród wyłamuje się z Bożego planu i zbacza na manowce buntu i zdrady, otwierają się przed nim krzyżowe drogi powrotne.

Im większa zdrada, tym głębsze morze cierpienia, tym ogromniejsza potrzeba ekspijacji. Bóg z siebie naśmiewać się nie da i zawsze ma ostatnie słowo.

Człowiek średniowieczny, nieświadom współczesnych metod naukowych, patrzał na dzieje naiwniej i głębiej niż dzisiejszy erudyta, urzeczony widzialnością namacalnych faktów i cyfr. Człowiek średniowieczny widział każde zdarzenie w potrójnym przekroju, jak w owych mysteriach trójscenicznych, angażujących niebo i piekło w akcję ludzkiego dramatu. Albowiem człowiek średniowieczny, bynajmniej nie idealny, miał oczy wiary, sięgające nieco głębiej niż mędrca „szkiełko i oko,'' gdy u większości naszych współczesnych, te oczy uległy atrofii. I dlatego wymyka się im sens naszej epoki, i dlatego sądzą ją tak płasko, i dlatego chorują na bezdziejowość, zbywając apel dnia mozolnym szeregowaniem faktów. Jakież byłoby ich zdumienie, gdyby ujrzeli, w ogniu błyskawic, protagonistę straszliwej gry!

Na szczęście — dla nich, Boża gra jest na ogół doskonale zamaskowana. Cyfry obchodzą się posłusznie bez Wielkiej Niewiadomej. Fakty prezentują się pozytywnie, z wszelkimi pozorami samoistności. Bywają jednak w dziejach przykłady bezpośredniej interwencji Bożej. Spokojny nurt logicznych zestawień przerywają wyrwy olśnienia. Bóg demaskuje się nagle na Synaju dziejów i woła: otom Ja. Środkami najbiedniejszymi — taka jest już jego metoda i takie obyczaje — pogrąża wielkich tego świata, klęski widoczne przeistacza w bezsporne triumfy. Sam bierze w ręce glinę dziejów, garncarz doskonały, i ulepia ją sam na modłę swoich zamysłów. By znów z kolei oddać ją nam, włodarzom niegodnym, na rabunkową gospodarkę...

Taką wyrwą świetlistą w dziejach Francji jest najprawdziwsze życie i śmierć Johanny d'Arc, prześcigające śmiałością i czarem najcudowniejsze legendy. Próżno mędrkowie, podtrzymując tradycje trybunału, który skazał ją na stos, próbowali zredukować tę dziwną opowieść do racjonalnych ram. W końcu (choć z bólem w sercu) musieli dać za wygraną i przyznać, że działały tu „imponderabilia'' trudne do wytłumaczenia przy pomocy zdrowej logiki.

Na szczęście lud, mający coś, co niejednokrotnie wyparowało z głów uniwersyteckich pod ciśnieniem martwej erudycji, lud mający zdrowy sąd nie daje się zwieść. Johanna d'Arc jest dlań świętą narodową i symbolem owych „Gesta Dei,'' które cichą pastereczkę obrały sobie za narzędzie.

Dziś, gdy znaki na ziemi i niebie każą nam znów spodziewać się widzialnej ingerencji Boga w dziejach, nad miarę zakłóconych, dobrze będzie przypomnieć tę najprawdziwszą legendę ku zbudowaniu maluczkich i zawstydzeniu mądrych tego świata:

* * *

Było to w czasie Wojny Stuletniej, gdy Francję pustoszył obcy zaborca, szarpały wewnętrzne niesnaski, gnębiły zaraza i głód. W małej wioszczynie, na pograniczu Szampanii i Lotaryngii, w noc Trzech Króli 1412 roku, narodziła się dziewczynka, którą nazwano Johanna. Ojciec jej był zacnym chłopem, wrosłym w ziemię od niepamiętnych czasów: Jacques d'Arc. Matkę

dzie nadal w swej duszy nieśmiertelnej, a nawet, po ciał zmartwychwstaniu, w ciele swoim, tym przedłużeniu doczesności. Trzeba być chrześcijaninem nie poto, rzecz jasna, by podjąć, ale poto, by „dopełnić" kształtowania pełnowartościowego człowieka: tylko Boży punkt widzenia może pchnąć jednostkę na wyżyny jej ostatecznego rozwoju, przypominając jej, że ma „aspiracje nieskończone," że wciąż usiłuje prześcignąć samą siebie, i że zagwoździć ją na pewnym etapie, wyniesionym do rangi „złotego wieku" to tyle, co udusić ją, co ją zabić. Jest więc misją Kościoła przypominać wczas i niewczas — a czynił tak zawsze, wczoraj, jak i dziś — postulaty, którym winny czynić zadość organizacje doczesne *pod grozą zniekształcenia wizerunku Bożego w człowieku.*

Tak więc widzimy, że w dziedzinie społecznej Kościół odrzuca jednocześnie anarchię ekonomii liberalnej, która z walki czyni prawo postępu, i etatyzm, niweczący wolność jednostki na rzecz anonimowej potęgi, i że wskazuje rozwiązania, w których organizacja jest wyrazem współdziałania wolnych jednostek, w pełnym poszanowaniu naturalnych komórek społecznych: rodziny, przedsiębiorstw, zawodów...

REFORMY STRUKTURALNE

Jest więc dziś waszą misją analizować i reformować dogłębnie same *struktury*, i to we wszystkich dziedzinach. Najbardziej naglą problemy wysuwane przez życie ekonomiczne i społeczne. Wiemy, że odważni kierownicy przedsiębiorstw, w ścisłym kontakcie ze środowiskiem robotniczym, usłuchali naglących wezwań biskupów francuskich, przypominających im, nie tak dawno temu, „łagodnie a mocno zasadę orientacji coraz wyraźniejszej" stosunku kapitału do pracy „ku kontraktowi społecznemu." Pracują dzielnie, zarówno w pomysłach, jak i realizacjach, nad odnowieniem w tym duchu struktury swoich przedsiębiorstw, powołując robotników do współudziału w kierownictwie, we własności i w zysku. Wiemy skądinąd, że mnóstwo osób świeckich usiłuje tworzyć prawdziwe organizacje zawodowe, mądrze dawkujące autentyczne przedstawicielstwo zawodowe z miarodajną kontrolą władz publicznych. Reformy takie wprowadzają w życie pewne założenia techniczne, co do których nie możemy się wypowiadać i które mogą być różnolite. Wszystkie jednak idą po linii wskazań, wysuwanych przez Encyklikę „Quadragesimo anno." Są one nieodzowne do rozwiązania problemów ekonomicznych i społecznych. Stawiają pewne warunki bez których niemożliwe jest podniesienie proletariatu. Zachęcamy więc gorąco wszystkie osoby świeckie, którym ich zawód pozwala działać na tej płaszczyźnie, żeby wstąpiły na tę drogę i wytrwały na niej, mimo trudności wszelkiego rodzaju, które staną im na przeszkodzie[6].

To, co powiedzieliśmy o przedsiębiorstwach, dotyczy również wszystkich innych odcinków życia publicznego: urbanistyki, życia ekonomicznego, „polityki" w szerokim tego słowa znaczeniu, wymian międzynarodowych, kultury, nauczania, rozrywek, sztuki itd. Chrześcijanie winni być wszędzie *obecni:* oto nasze wyraźne hasło. Niechże będą „zaczynem" narastającego ciasta!

Przekład:
MARIA WINOWSKA

6) *C.C.I.F. „Centre Catholique des Intellectuels Français," wyznaczył jako program tegoroczny studium nad człowiekiem biorącym się za bary z postępem technicznym. Poszczególne sekcje już zajęły się tym problemem aktualnym.*

Józef BIAŁASIEWICZ

Korespondencja własna ŻYCIA

NIEMCY ZAWSZE CI SAMI

Frankfurt,

ERLANGEN jest niewielkim, uniwersyteckim miastem, w pobliżu Norymbergi. W ostatnich czasach nazwa tego miasteczka przewija się często przez łamy prasy. Najpierw było głośno z powodu studenckich demonstracyj na wykładzie pastora dra Niemöllera, który głosił tezy o zbiorowej odpowiedzialności Niemców za popełnione w czasie wojny zbrodnie. Głośno było o Erlangen, gdy opublikowana została wiadomość o konieczności zwolnienia 76 profesorów tamtejszego uniwersytetu z racji hitlerowskiej ich przeszłości. W styczniu zaś znów mówi się o Erlangen.

Oto w dn. 4 stycznia r. b. obradował w Erlangen krajowy komitet CSU (Christliche Soziale Union) Bawarii przy udziale osobistości, pełniących wybitne funkcje w życiu politycznym. Był więc obecny na zjeździe i wygłosił przemówienie bawarski premier dr Hans Ehard, byli i inni bawarscy ministrowie, a poza tym dyrektor wydziału gospodarczego dwustrefowej Rady Gospodarczej, dr Johannes Semler. Obaj wymienieni tu przewódcy CSU wystąpili z ostrymi oskarżeniami przeciw władzom okupacyjnym. Oskarżenia te, tylko częściowo podane do wiadomości prasy, przez niemiecką agencję urzędową *Dena*, istotnie musiały być wyjątkowo gwałtowne, skoro dziennik *Nrnbe rger Nachrichten* pisał:

„Otrzymaliśmy dowód, że istotnie żyjemy w demokratycznym systemie, gdyż żaden z tych krytyków nie został dotychczas aresztowany lub zesłany do obozu koncentracyjnego, jakby to odrazu stało się w Trzeciej Rzeszy."

Cóż więc mówili owi krytycy władz okupacyjnych? Premier Ehard nazwał „układem o handlu ludźmi" tę część postanowień jałtańskich, która ustaliła możność przekazywania jeńców wojennych z jednego do drugiego państwa zwycięskiego za tego rodzaju wypadki — mówił bawarski premier — zapadły ciężkie wyroki w norymberskich procesach. Ustalone w Norymberdze zasady winny być rozciągnięte i na prawa okupacyjne.

Dr Ehard groził, że w obecnej sytuacji niemieckiej, kiedy władze okupacyjne popełniają błędy, grozi niebezpieczeństwo komunizmu lub nacjonalizmu.

Drugi atakujący, dr Semler, oświadczył, że jeśli Niemcy nie otrzymają ostatecznej pomocy gospodarczej w ramach planu Marshalla, należy powiedzieć władzom okupacyjnym: „Sami obejmijcie odpowiedzialność." Dr Semler atakował ostro amerykański i brytyjski zarząd wojskowy, nazywając brytyjską gospodarkę w Zagłębiu Ruhry „rabunkiem," za który jest odpowiedzialny rząd Labour Party, prowadzący „politykę eksperymentów" kosztem niemieckich interesów gospodarczych. Niemcy nie mają swobody dysponowania kapitałami, jakie gromadzą się zagranicą z racji eksportu niemieckich wyrobów. Do Francji zaś wywozi się niemieckie produkty, płatne w markach.

„A cóż uczyniono dla nas?" — wołał Semler. — Przysłano nam mąkę z kukurudzy i pożywkę dla kur, a płacimy za nie drogo. Nic nam nie podarowano. Płacimy drogo w dolarach z niemieckiego eksportu i musimy jeszcze za to dziękować. Byłby już czas, aby niemieccy politycy zrezygnowali z podziękowań za te przesyłki żywnościowe."

Dr Semler wysunął wreszcie żądania poprawy wyżywienia i przeprowadzenia reformy walutowej, a istnienie czarnego runku określił jako symptomy obecnego położenia, powstałe bynajmniej nie z tej racji, że „Niemcy są źli." Przyczyny zła leżą gdzieindziej.

Szczególnie w amerykańskich kołach zarządu wojskowego przemówienie dra Semlera wywołało silną reakcję. Rzecznik władz wojskowych nazwał Semlera „przeklętym kłamcą," a rzeczoznawcy opublikowali urzędowe oświadczenia, kwestionujące słuszność zarzutów. Równocześnie całość przemówienia poddano ścisłym badaniom, gdyż Semler bronił się twierdzeniem, jakoby z całości jego przemówienia wyrwano w punlikacjach prasowych poszczególne tylko zdania. Badania wykazały, że Semler przekroczył granice krytyki, którą oparł na fałszywych i błędnych argumentach. Na zarządzenie więc obu gubernatorów wojskowych, gen. Clay'a i gen. Robertson'a, został usunięty ze stanowiska dyrektora dwustrefowego wydziału gospodarczego Rady Gospodarczej. Gubernatorzy podkreślili w zarządzeniu, że ogólny ton krytyki był nieobiektywny, natomiast wykazał postawę złej woli i opozycji przeciw mocarstwom okupującym." Z uwagi na uznawane przez rządy obu mocarstw prawo krytyki nie podjęto przeciw Semlerowi żadnych innych kroków, poza pozbawieniem go urzędu w Radzie Gospodarczej. Trzeba dodać, że Semler wyraził gen. Clay'owi słowa ubolewania z z racji tonu przemówienia w Erlangen zanim jeszcze nastąpiło jego usunięcie z urzędu.

Niemiecka prasa na ogół zajęła wobec wypadku z Semlerem stanowis ko pełne rezerwy. Prasa CSU usiłowała usprawiedliwić Semlera, podkreślając dobre jego stosunki z władzami okupacyjnymi oraz wysokie kwalifikacje fachowe dla piastowania urzędu w Radzie Gospodarczej. Jedynie partia socjalistyczna (SPD), będąca w bawarskim parlamencie w opozycji do rządu CSU, potępiła nieodpowiedzialne wystąpienie Semlera, wnosząc w parlamencie w Monachium interpelację, czy rząd CSU podziela poglądy, wyrażone przez eksponowanego działacza tej samej partii. W Erlangen bowiem ministrowie CSU mieli szczególnie gorąco oklaskiwać oskarżenia usuniętego z urzędu dyrektora.

Generalny sekretarz związków zawodowych w Bawarii, Georg Reuter, najostrzej potępił wystąpienie Semlera, nazywając je uderzeniem w twarz dla USA, amerykańskich obywateli i szczególnie gen. Clay, niosących pomoc Niemcom w obecnej, ciężkiej sytuacji gospodarczej kraju. Również b. min. rolnictwa w Bawarii oświadczył, że wypowiedzi Semlera, w zakresie rolniczym, zawierały wiele nieporozumień. Incydent z Semlerem pozostał jednak jako dowód ukrywanej przez Niemców postawy wobec władz okupacyjnych. I nic dziwnego, że gdy w tydzień po przemówieniu Semlera w Erlangen przybył do tego miasta gen. Clay, na inspekcję, spotkał na dworcu kolejowym kilkaset osób, szczególnie kobiet, niosących transparenty z napisami: „Protestujemy przeciw zajmowaniu naszych mieszkań!" Okazuje się wszakże, że i ta demokracja Niemców była pozbawiona wszelkich objektywnych podstaw, gdyż — jak to wyjaśnił burmistrz, dr Michael Poeschke — w Erlangen jest zaledwie 15 proc. mieszkań zajętych na cele armii amerykańskiej i nie może być mowy o jakimś nadmiernym obciążaniu w tym zakresie.

Podane tu dwa przykłady wskazują, że Niemcy poczynają sobie coraz swobodniej wobec amerykańskich władz okupacyjnych, skoro rozszerza się ich uprawnienia i przekazuje coraz nowe zagadnienia administracyjno-państwowe w niemieckie ręce. Dla uzupełnienia zaś i potwierdzenia tej opinii warto jeszcze wskazać na krytykę amerykańskiego trybunału w Norymberdze, sądzącego niemieckich zbrodniarzy wojennych. Krytyka ta wyszła tym razem z niemieckich kół strefy brytyjskiej. *Die Zeit*, pismo wydawane w Hamburgu, zamieściło (22.1.) artykuł Richarda Tüngela, który pisze m. in.: „Dotychczas milczeliśmy o wielu sprawach, jakie dzieją się w Norymberdze, na odpowiedzialność prokuratorskich. Milczeliśmy o tym,

---

zwano we wsi: Isabeau. Było to szczęśliwe stadło, cieszące się w okolicy dużym zachowaniem. Joasię matka chowała w domu, ucząc ją prząść i szyć, jak na dziewczynę przystało. Nie bez pewnej dumy rycerska dziewka oświadczy kiedyś swoim sędziom: „z każdą białogłową gotowam iść w zawody igłą, czyli też kądzielą." Matka także, wedle zeznań późniejszych, nauczyła ją pacierza: „Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i Wierzę." Na tym skończyła się edukacja dziewczyny. Nie umiała czytać ni pisać.

Joasia nie wyróżniała się w niczym od swoich rówieśnic, aż do chwili, gdy po raz pierwszy nawiedziły ją „Głosy" Świętych pańskich, które odtąd miały jej towarzyszyć na triumfalnej i krzyżowej drodze, aż po stos. Usłyszała je po raz pierwszy, gdy miała trzynaście lat, „w południe, letnią porą, w ogrodzie tatusiowym." Zdziwiły ją trochę, lecz nie stropiły. „Musiałoci to być Boże poselstwo, gdyż kazało mi dobrze się sprawować, chodzić do kościoła i ratować Francję." Później Joasia zaczęła rozeznawać swoich niebieskich gości: były to święta Małgorzata, święta Katarzyna i archanioł Michał.

Kiedyś sędziowie sprzedajnego trybunału niemało zadadzą sobie trudu, by dziewczynę osaczyć sprzecznymi pytaniami i przyłapać na jakowejś nieścisłości. Protokół zachowany notuje dzień po dniu przesłuchania. Na podchwytliwe argumenty mistrzów Sorbony, kutych w logice arystotelesowej, Johanna odpowiada prosto, jasno i nad wyraz przekonywująco. Zaiste, ani na chwilę nie opuściła jej „niebieska rada," gdyż trzeba było mądrości ponadludzkiej, by sprostać szczwanym wygom.

Joasia jest nie tylko mądra. Jest również nad wyraz urocza. Z całej jej postaci, z mowy, z ruchów i odruchów bije jakiś dziwnie ujmujący czar, który „brał" kolejno wielkich i małych, został w legendzie i pieśni ludowej i tylko na mistrzach Sorbony spłynął jak po szkle, co źle świadczy o nich. Ta dziewczyna niepiśmienna mówi ślicznym językiem, mocnym i wartkim, jak górski ruczaj, dla każdej sprawy znajduje słowa niezapomniane, jedyne i przekonywujące jak samo światło. Dzisiaj młodzież francuska powtarza je z pietyzmem, niby credo swojej rasy. Gdyż wiadomo, Łaska nie niweczy natury, tylko ją uszlachetnia, i święty jest zawsze w dwójnasób synem swojego narodu. Wiemy coś o tym my, Polacy, których hagiografia zlewa się niemal z historią oficjalną. I dlatego może łatwiej nam, niż komukolwiek innemu, zrozumieć i docenić „cud orleański."

Przez trzy długie lata Johanna pasowała się ze sobą, ze swoją dziewczyńską nieśmiałością, z przystałą na wieśniaczkę pokorą. Nie wątpiła w Boże głosy: wątpiła w siebie. Bo też niebieskie orędzie nakazywało jej rzecz nieladajaką: onaż to, dziewczyna młodziuteńka, prostaczka nieuczona, miała pójść sama w daleki świat, ratować króla i Francję? W jejże to słabe ręce złożył Bóg losy rozćwiartowanego przez zaborcę kraju? Na te wszystkie wątpienia Głosy odpowiadały: „Idź, córo Boża, idź!"

Joasia nie zwierzała się nikomu, nawet rodzicom. Toż nazwaliby ją wariatką i zapędzili do kądzieli!

— Zawszem ci ja słuchała ojca i matki — wyzna kiedyś — krom tego jednego razu. Skoro Bóg tak kazał, musiałam iść. I choćbym miała stu ojców i sto matek, skoro Bóg tak kazał, byłabym poszła!

Pewnego dnia, w maju 1428 roku, Joasia opuściła na zawsze rodzicielski dom (a serce się jej krajało!), idąc rzekomo w odwiedziny do wuja, który mieszkał w pobliżu Vaucouleurs. Gdyż Głosy obwieściły jej, że wesprze ją w trudnej imprezie Robert, pan na Vaucouleurs, i że sam ją zawiedzie do króla.

Jak było do przewidzenia, hrabia Robert przyjął dziewczynę wyniośle i wykpił jej „przywidzenia." Dwa razy odprawił ją z kwitkiem. Ale Joasia nie dawała za wygraną. Powoli tworzyła się wokół niej dziwna atmosfera, swoim świętym uporem zdobywała zwolenników.

— Choćbym miała schodzić nogi do kolan — rzekła raz do Jana z Metz, tęgiego rycerza — taki pójdę do króla. Gdyż nie ma na świecie ani książęcia, ani rycerza, ani córy królewskiej, ani nikogo, kto by mógł wyzwolić Francję. Ratunek jeno we mnie, choć wolałabym prząść przy mamie, boć to nie moje rzemiosło. Aliści muszę iść i zrobić jak mi przykazał mój Pan.

— A któż jest twoim Panem?

— Bóg.

W końcu dał się przekonać vaucouleurski kasztelan i obiecał zawieść ją do króla. Ludność miejska, która rychlej uwierzyła jej na słowo, urządziła składkę, by kupić jej konia „za całych szesnaście franków."

— Kiedy chcesz jechać? — zapytał Jan z Metz.

— Wolej dzisiaj niż jutro, i wolej jutro niż pojutrze.

co dzieje się w skrzydle sądu dla świadków, milczeliśmy o groźbach i zastraszeniach, na jakie narażeni są świadkowie a jakie nie odpowiadają naszym przepisom sądowym. Milczeliśmy, gdy świadkowie donosili nam, że chciano ich skłonić do podpisywania nie prawdziwych protokołów, nie odpowiadających zeznaniom, dla których ich zaprzysiężono. Milczeliśmy, chociaż wiedzieliśmy, że niewinni świadkowie byli miesiącami trzymani w areszcie — amerykański sędzia był tym, który to stwierdził na procesie. Milczeliśmy także, gdy prokurator, na obronę tego postępowania, złożył przed sądem wymijające oświadczenie. Milczeliśmy o metodach p. Kempnera, którego znany europejski dziennikarz, Öeri, nazwał w *Basler Nachrichten* polującym na ludzi.

Ale teraz, gdy sześciu adwokatów, z procesu Kruppa, aresztowano na sali sądowej, gdy takie samo aresztowanie grozi adw. Achenbach, na kilka dni przed tym, zanim sprawa jego klienta wejdzie na wokandę — teraz nie możemy już milczeć. Teraz chodzi już nie o urząd prokuratorski, ale o sąd. Nie możemy już zezwolić na czynienie nam zarzutu, że przypatrujemy się tchórzliwie, gdy — według naszej opinii — narusza się prawo: oskarżamy. My, którzy nienawidzieliśmy Hitlera i jego Trzeciej Rzeszy, my, którzy żądaliśmy, aby surowo byli ukarani winni hitlerowskiego systemu — my jesteśmy zmuszeni wystąpić, aby w Norymberdze zapanowało prawo...''

Ten atak na amerykański trybunał wojskowy w Norymberdze jest czymś niesłychanym, jeśli zważymy, że sprawa wymienionych w artykule adwokatów jest nader prosta i jasna: naruszyli oni powagę sądu swoim odnoszeniem się do tej instytucji, uważali za stosowne podejmować akty protestu przeciw decyzjom kompletu sądowego w sprawach postępowania sądowego i wskutek tego spowodowali ingerencję sądu, przeciw nim wymierzoną. Hamburskie pismo korzysta jednak z okazji, aby podjąć atak na samą instytucję wymiaru sprawiedliwości, która może zapisać tak istotne osiągnięcia, jak ściganie i karanie niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Osoba zastępcy naczelnego prokuratora, przy trybunale w Norymberdze, Dra Roberta W. Kempnera jest też, przedmiotem tych ataków, bo i *Flensburger Tageblatt*, ze strefy brytyjskiej, zamieścił artykuł (20.1.), wymierzony przeciw amerykańskiemu rzecznikowi prokuratury. Pismo to uważa akt oskarżenia przeciw dygnitarzom hitlerowskiego min. spraw zagr. za opracowanie w formie ,,felietonowej,'' nie mające nic wspólnego ,,z trzeźwo-rzeczowym językiem prawniczym niemieckiego aktu oskarżenia.'' Wstęp zaś aktu oskarżenia prof. Kempnera ma być jak ,,początek do nakreślonego w silnych barwach współczesnego romansu.''

Flensburger Tageblatt wypomina Kempnerowi, że był kiedyś niemieckim obywatelem i do r. 1933 pracował w pruskim min. spraw wewn., a obecnie los uczynił go oskarżycielem stanu, z którego sam wywodzi się i którego oskarżeni przedstawiciele ,,zamiast emigracji wybrali kollaborację.'' Ataki na dra Kempnera są o tyle zrozumiałe, że istotnie ściga on niemiłosiernie niemieckich zbrodniarzy wojennych, choćby wielu Niemców pragnęło ich uchronić w jakiś sposób.

Wszystkie te — nazwijmy łagodnie — śmiałe ataki, wychodzące z kół niemieckich, są objawami narastania w Niemczech niepokojących nastrojów. Niemcy nie raz już wykazali w swojej historii wybitne braki w zakresie umiejętności politycznego przewidywania, a każdą sytuację istotnej czy pozornej słabości przeciwników wykorzystywali w sposób, nie znający granic ni też umiaru. Dziś pewne akty łagodzenia stosunków okupacyjnych chcą już dyskontować, stawiając swoje żądania i wysuwając oskarżenia pod adresem tych, którzy przecie pobili ich druzgocąco w niedawnej rozprawie wojennej. Typowa to niemiecka krótkowzroczność i objaw niezrozumienia psychiki innych narodów.

JÓZEF BIAŁASIEWICZ

KRONIKA



JAK POLSKA UCZCI PAMIĘĆ CHOPINA

Zbliża się setna rocznica zgonu Chopina, a z nią organizowany przez Instytut Fryderyka Chopina ,,Rok Chopinowski 1949.''

Instytut Fryderyka Chopina planuje w Roku Chopinowskim:

1) Odnowienie domku Chopina w Żelaznej Woli, urządzenie w jego pobliżu Domku Letniego Studium Chopinowskiego, o charakterze naukowo-wirtuozowskim oraz założenie tam Archiwum Chopinowskiego i Biblioteki Chopinowskiej;

2) posunięcie naprzód prac przy realizacji ,,Dzielnicy Chopina'' w Warszawie;

3) wydanie drukiem dzieł zbiorowych Chopina według autografów i pierwodruków redakcji wirtuozowskiej Paderewskiego, której rękopisy uratowano z pożogi wojennej;

4) zorganizowanie w Warszawie wielkiej Wystawy Chopinowskiej, gromadzącej wszelkie przedmioty i wydawnictwa związane z Chopinem;

5) zorganizowanie IV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego;

6) utworzenie płytoteki gramofonowej zbiorowych dzieł Chopina;

7) wydanie monografii Chopina;

8) budowę pomnika Chopina;

9) wydanie znaczków pocztowych propagujących Rok Chopinowski.

Polskie Wydawnictwo Muzyczne podjęło się wykonania technicznego wydania dzieł Chopina, w redakcji I. Paderewskiego. Do akceptacji Min. Kultury i Sztuki przedłożono już warunki konkursu na pomnik Chopina oraz ogłoszono warunki polskiego konkursu eliminacyjnego do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

JAKIE KOŚCIOŁY SĄ CZYNNE WE LWOWIE

Następujące wiadomości otrzymaliśmy ze Lwowa:

Dnia 29 września 1946 r. otwarto Kościół Marii Magdaleny wśród wielkich uroczystości i płaczu wiernych, którzy tłumnie przyszli do świątyni.

We Lwowie otwarte są teraz cztery kościoły: 1. Katedra, 2. Św. Antoniego, przy ul. Łyczakowskiej, 3. Najśw. Marii Panny Śnieżnej, przy placu Krakowskim, 4. Św. Marii Magdaleny.

Kościoły te obsługiwane są przez pięciu księży polskich: Ks. Jana Kiwińskiego, Ks. Zygmunta Truszkowskiego, Ks. Hieronima Kwiatkowskiego, Ks. Stanisława Ptaszyńskiego, który jest chory obecnie, i Ks. Karola Jastrzębskiego, który liczy już 66 lat.

Wszystkie metryki chrztów, pogrzebów i ślubów są obecnie w rękach Z.A.C., przy ul. Sykstuskiej 23.

Dokumenty można wydostać drogą przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Moskwie, albo też pisać urzędowo do biura parafialnego, przy katedrze we Lwowie, na adres: Ks. Karol Jastrzębski, Katedra Polska, Lwów, Z.S.S.R.

,,Ździebko'' o Poznaniu

W ,,Przekroju,'' Nr. 145, redaktor tego pisma, Jerzy Waldorff, poświęcił serdeczny felieton Poznaniowi. Przedrukowujemy najbardziej interesujące wyjątki:

,,Ratusz poznański, jedna z piękniejszych budowli renesansowych w Polsce, stracił podczas walk w 1945 roku wieżę i spłonął, ale tylko do II-go piętra. Cenne architektoniczne I-sze, oraz parter ocalały dzięki zasłudze jednego człowieka, podówczas starszego woźnego Ratusza — Józefa Jóźwiaka. Skoro tylko Niemcy wycofali się do Cytadeli i miasto zostało bezpańskie, Jóźwiak zamknął się w atuszowym gmachu, obawiając się słusznie, że do wnętrza dostaną się szabrownicy. Góra budynku stanęła w ogniu zbyt szybko, aby ją można było ratować. Chodziło o to, żeby płomienie nie przeszły drewnianymi schodami, na pierwsze piętro i parter. Biedny Jóźwiak wziął się do rąbania posadzki koło schodów i odkrył, że pod posadzką jest piasek. Obsypał więc tym piaskiem schody i choć potem podmuch jakiejś eksplozji rzucił go o biurko prezydenta miasta i Jóźwiak wybił sobie wszystkie zęby, to jednak — za cenę tych zębów, dziś już zresztą pięknie wstawionych — ogień na piasku się zatrzymał i dół Ratusza ocalał.

Nie na tym koniec Jóźwiakowej zasługi. Onże wykradł Niemcom w ostatniej chwili klucze od miejskiego skarbca i ukrywał je tak długo, aż nie objęły miasta władze polskie. Dzięki temu Poznań — gdyby miał teraz wydawać przyjęcie — mógłby ugościć 500 ludzi na litym srebrze i najprzedniejszej porcelanie, a prezydent miasta mógłby przy tym wystąpić w szczerozłotym łańcuchu prezydenckim, ważącym 2 kilogramy.''

,,Był zresztą moment, kiedy Jóźwiaka, mianowanego kasztelanem Ratusza, łączyły z dzisiejszym prezydentem — mgr. Sroką, stosunki nie najlepsze. A poszło o to: matka, powszechnie lubianego, prezydenta, Sroczyna, dała wywiad do prasy, że jej dostojny syn, jest 17-tym dzieckiem w rodzinie i że przeto ona — matka, też się naharowała dla kraju i drugiej tak płodnej matki pewno nie ma. Na to matka Jóźwiakowa wezwała do siebie kasztelana i rzekła: ,,Idźże synku do tej prasy i powiedz, żeby nie wypisywali głupotków. W naszej rodzinie było 21 dzieci, tyżeś zaś tyż jest 17-ty, ale daleko nie ostatni!'' Początkowo nie chciano Jóźwiakowi dać wiary, przez respekt dla prezydenta, lecz w końcu dano i odtąd prezydent z kasztelanem żyją w najlepszej komitywie.''

Dobrze pamiętny Poznaniowi ,,żelazny kanclerz'' Rzeszy, Bismarck, wściekał się ongiś na to, że Polacy rodzą się jak króliki. Miał rację, że się wściekał: gdyby ojciec Jóźwiaka był poprzestał ,,tylko na 16 dzieciach,'' ,,piękny Ratusz poznański byłby dzisiaj może ruiną.''

,,Na rogu ulicy Fredry jest w Poznaniu duży sklep sukienniczy, czyli po tutejszemu ,,bławatny.'' Na czas Świąt ustawiono w witrynie sklepu szopkę: stroskany św. Józef pochyla się boleściwym ruchem nad żłóbkiem i w prawej ręce trzyma kartkę: ,,Czysta wełna, metr zł. 4.090.-'' Bowiem wzniosłe należy łączyć z praktycznym.

,,Ulubionym kościołem Poznania był brzydki, ale bardzo przez wszystkich kochany Św. Marcin. Został przez Niemców zburzony do fundamentów. Gdyby Poznań zamieszkiwali Warszawiacy, to rzuciliby się (a ja wraz z nimi) na najbliższy kościół luterański i znieśliby go w odwecie z powierzchni ziemi. Dopiero potem zaczęliby się martwić, gdzie się będą modlili. Praktyczni Poznaniacy zrobili zupełnie inaczej: zarekwirowali kościół luterański przy ul. Fredry, dla Św. Marcina, a tymczasem starego Św. Marcina odbudowują. I on już jest pod dachem.

,,Przed tym to zastępczym Św. Marcinem widziałem pierwszy z dwóch ogonków, trudnych do pomyślenia w innym mieście. Kiedy przechodziłem tamtędy, dobiegała 12-ta. Kościół był zapełniony i za chwilę msza miała się skończyć. Tymczasem, na następną, czekał po drugiej stronie ulicy ogonek z setek ludzi. Stali cierpliwie na deszczu, mokli i ziębli, żeby się nie spóźnić na sumę.

Zaiste, nie zbywało jej na rycerskim animuszu! Idąc za głosem swojej ,,niebieskiej Rady'' Johanna przycięła włosy na wzór chłopięcy, z grzywką na czole, i przywdziała męski strój ,,gdyż tak było przystojniej.'' Po raz pierwszy w życiu dosiadła konia i wraz umiała go zażyć z rycerską sprawnością. Kasztelan wręczył jej z uśmiechem miecz, polecając ją opiece pocztu, jakoże droga szła przez nieprzyjacielski kraj.

— Ruszajmy — zawołała Joasia — choćby stanął nam w poprzek zbrojny huf, Pan mój i tak utoruje mi drogę do króla Jegomości. *Potom się narodziła!*''

I ruszyła z kopyta, a za nią rycerska drużyna.

Tymczasem król, a raczej delfin Karol, przeżuwał zmartwienia czasów ostatnich na zamku w Chinon. Anglicy coraz swobodniej sobie poczynali w ujarzmionym kraju. Cała północ podlegała służbiście obcemu królowi. Kuzyn burgundzki zdradę knuł, z wrogiem się przymierzył. Co gorsze, Orlean, ów klucz do królewskich włości, nie mógł dłużej sprostać ciężkiemu oblężeniu. Zdobycie tego miasta wraz otwarłoby Anglikom drogę na południe. Więc gryzł się delfin i dlatego może wyglądał żarliwiej pomocy niebieskiej, iż środki ludzkie zawiodły. Czuł się tym słabszy, że chował w sercu nieznośną ranę, do której nikomu nie śmiał się przyznać: byłżeż on istotnie prawowitym synem królewskim, czy jego bastardem? Należałaż mu się korona z prawa, czyli też z przypadku? Taki to jad wszczył weń wróg perfidny, odbierając mu wiarę w słuszność własnej sprawy i rycerski do przedsięwzięć zapał.

Przed Johanną w awangardzie biegła wieść ludowa, słały się jej pod nogi serca prostaczków. Ale możni tego świata byli przezorniejsi. Delfin nie wykluczał bynajmniej jakiejś Boskiej interwencji, lecz wolał się mieć na baczności. To też chcąc wypróbować Johannę, na pierwszym posłuchaniu ukrył się wpośród nadwornych rycerzy, podstawiając na swe miejsce jednego z nich.

Johanna weszła w swym stroju pazia, z kapeluszem w ręku.

Powiodła okiem wokół, jakby szukając i poszła wprost do Delfina. Pokłoniła mu się nisko, objęła za kolana i rzekła:

— Miły Delfinie, nazywam się Johanna. I oznajmia ci przeze mnie Król niebieski, że będziesz ukoronowany w mieście Reims. I będziesz namiestnikiem Króla niebieskiego, który jest Królem Francji.

Poczem prosiła go na ubocze, by mu zawierzyć coś sekretnego:

— Powiadam ja Tobie, w imieniu Pana mego, żeś prawowitym dziedzicem Francji i królewskim synem.

Delfin nie potrzebował więcej dowodów, uwierzył w posłannictwo Joanny. Lecz na dworze Chinon był nie tylko delfin! Mężowie uczeni i światli poddali ją gruntownemu badaniu. Możnaż było zawierzyć się takiemu dziecku? Głosy jej były z nieba, czy jeno złudzeniem? Więc trapiły się głowy doktorskie, biorąc ją w krzyżowy ogień pytań. Lecz Johanna przecinała te węzły gordyjskie słowem jasnym jak brzeszczot.

— Znaków chcecie? Moim znakiem będzie wyzwolenie Orleanu. Dajcie mi jeno ludzi. Króla powiodę do Reims na koronację. Jać wiem, żem nie uczona, a jednak sprawuję poselstwo niebieskiego króla. W księgach mojego Pana jest więcej niż w waszych!

Musiało być w jej słowach coś wielce przekonywującego, skoro uczeni w piśmie i doktorzy Sorbony w końcu jednak orzekli:

— Zaprawdę, ta dziewczyna przychodzi od Boga.

Tedy Delfin oficjalnie obwieścił wszystkim swoim wiernym miastom, że Bóg przyszedł mu w sukurs przez Johannę z Domrémy, która pomoże mu odzyskać stracone królestwo.

Oto pierwszy etap triumfalnego marszu Johanny poprzez ,,miłą Francję.'' W sercach rycerskich odżyła wiara, wzdłuż i wszerz kraju niosły się wici pospolitego serc ruszenia. Nie tracąc czasu Delfin słał odsiecz wiernemu Orleanowi. Na czele wojska dziewczyna w białej zbroi, hojnie opłaconej ze szkatuły królewskiej, z mieczem cudownym, z trzema krzyżami na rękojeści, dobytym zza ołtarza w kościele Fierebois (tak przykazały Głosy) i ze sztandarem wyobrażającym na jasnym polu ,,Niebieskiego Króla.''

— Stokroć wolałam sztandar swój od miecza, powie Johanna w swych zeznaniach, ,,trzymałam go podczas szarż na wroga, by nie zabić nikogo. *Nigdy nie zabiłam nikogo.* Moje święte przykazały mi nieść go śmiele przed się i że Bóg mi dopomoże. Moja nadzieja zwycięstwa na Bogu się opierała, nie na kim innym. Nie mój sztandar, ani ja, jeno Bóg.''

(CIĄG DALSZY NASTĄPI)

Drugi taki ogonek, nie wiele mniejszy, zastałem przed Operą. Ale ten nie składał się wyłącznie z Poznaniaków. Stali w nim liczni mieszkańcy prowincji, gdyż w Poznańskim panuje taki właśnie obyczaj, że podczas Świąt chętniej jeździ się z małych miast do teatrów w Poznaniu, niż pije ną miejscu wódkę.

Poznań ma 4 teatry: Operę, Teatr Polski, Teatr Nowy i Teatr Operetki. W Operze byłem na przedstawieniu baletowym, w którego ramach wystawiono doskonale „Szecherezadę" Rimskiego-Korsakowa, z rewelacyjną Bittnerówną w roli tytułowej. Balet poznański i balet Opery Śląskiej, to jedyne dziś u nas zespoły taneczne z prawdziwego zdarzenia. Ponadto Opera Poznańska dba o to, żeby widz i słuchacz miał wszystko w pierwszorzędnym gatunku i do syta. Kiedy w „Szecherezadzie" zapalono na scenie kadzidła wschodnie, to zapalono ich tyle, że na widowni zrobiło się ciemno od woniejącego dymu, a ubranie moje jeszcze w trzy dni później wydzielało połączone zapachy Ali Baby i Czterdziestu Rozbójników.

W Teatrze Polskim byłem na przedstawieniu p. t. „Słońce w nocy," pióra Janusza Teodora Dybowskiego, piastującego nieopatrznie godność kierownika literackiego teatru. „Słońce w nocy" napisał Dybowski podczas wojny, w Szwajcarii. Kiedy potem wracał do kraju i był rewidowany na granicy, celnicy nasi niestety rękopisu sztuki tej nie skonfiskowali. Ponieważ jednak sztuką było wystawić taką sztukę, więc muszę przyznać, że poznański Teatr Polski wywiązał się ze swego zadania artystycznego doskonale..."

WARSZAWA

Bywają i tacy

„Problem mieszkańców zagrożonych domów i ruin jest nadal jednym z najpoważniejszych zagadnień Warszawy.

Często słyszy się skargi na to, że ludziom tym poświęca się zbyt mało uwagi, że nie myśli się o ich przyszłości, że się ich wyrzuca „na bruk."

Trzeba jednak zdać sobie jasno sprawę z tego, że mamy do czynienia z dwoma, że się tak wyrażę, rodzajami bezdomnych. Prócz ludzi rzeczywiście nieszczęśliwych, zasługujących na współczucie i najdalej idącą pomoc, istnieją „typy" żerujące na ciężkich warunkach mieszkaniowych. Są to swego rodzaju „SZANTAŻYŚCI BUDOWLANI." Nie pracują, mieszkają w norach, a jednak kurczowo trzymają się Warszawy. Co ich do tego skłania? Sentyment? Patriotyzm lokalny? Ani jedno, ani drugie. Po prostu zwykły brudny interes.

Ludzie ci „trudnią się zawodowo" zamieszkiwaniem w ruinach, które w najbliższym czasie mają ulec zburzeniu. Węszą oni, gdzie jaki dom ma być zburzony. Tam sprowadzają się z całą rodziną, z larami i piernatami. Przychodzi Komisja Budowlana — wysiedlenie, płacz i... odszkodowanie — pewna sumka na zdobycie innego mieszkania. Rodzinka bierze odszkodowanie i przeprowadza się do domu, o którym już wie, że ma być w najbliższym czasie zburzony. Tu powtarza się cała historia, łącznie z odszkodowaniem.

Komisje budowlane stwierdzają, że zupełnie niezamieszkałe ruiny zaludniają się bezpośrednio przed wizytą Komisji. Więc co to jest? Zwyczajna spekulacja, zwyczajny szantaż.

MISJE DLA POLAKÓW I POLEK

Od niedzieli 29 lutego — do soboty dnia 6 marca b. r. odbędą się dla Polaków i Polek MISJE, urządzone staraniem Polskiego Duszpasterstwa Katolickiego Western Command. Misje odbywać się będą jednocześnie w 3 Kościołach Katolickich, a mianowicie, w:

1. Manchester, Kościół St. Alban's, przy Fawcett Street, Ancoat's.

2. Bolton, Kościół St. Edmond's, przy St. Edmond's Street, naprzeciw Fire Station, centrum miasta.

3. Oldham, Kościół Our Lady of Mount Carmel and St. Patrick's, przy Union West Street, centrum miasta.

Program misji:

Codzienna nauka misyjna, o godz. 8 wieczór. Na zakończenie: uroczysta msza św. w sobotę, o godz. 10 rano, okazja do spowiedzi — cały dzień i ostatnia nauka o godz. 6 wieczór.

Prosimy wszystkich Polaków mieszkających w tych okolicach, którzy to przeczytają, aby wiadomość o misji powtórzyli wszystkim znajomym, by udział w misji był jak najliczniejszy.

Polski Kapelan Manchester

Myślę, że na polepszenie warunków życia bezdomnych „zawodowców" znalazłoby się dużo sposobów. Jednym z najprostszych byłoby osiedlenie się na terenach nieprzeludnionych.

Wyszłoby to na zdrowie zarówno „zawodowcom," jak i prawdziwym bezdomnym, jak i sprawie odbudowy Stolicy. („Głos Ludu," Nr. 25).

NOWOCZESNA ARTERIA KOMUNIKACYJNA STOLICY

W Warszawie są w toku prace nad przebiciem t. zw. „*trasy W—Z*," zakończenie robót planowane jest na koniec roku 1949.

Trasa W (wschód) — Z (zachód) będzie główną arterią komunikacyjną, łączącą w linii prostej Pragę, poprzez most Śląsko-Dąbrowski (dawny Kierbedź), z lewobrzeżną częścią stolicy.

Budowa tej arterii W—Z już się rozpoczęła na przyczółku mostu Kierbedzie, przy rozbieranym obecnie wiadukcie Pancera, na Placu Zamkowym, wzdłuż ulicy Kapucyńskiej oraz na tyłach zabudowań ulicy Hipotecznej.

Ulica Zygmuntowska i Radzymińska, na Pradze, to początek tej wielkiej pracy. Arteria W—Z łączyć się będzie z ulicą Targową poprzez zabudowania Dworca Wileńskiego, które ulegną rozbiórce. Dalszy ciąg trasy — most Śląsko-Dąbrowski będzie zbudowany z najnowocześniejszych elementów konstrukcyjnych.

PODZIEMNY TUNEL

Od lewobrzeżnego przyczółka mostu Śląsko-Dąbrowskiego bierze swój początek druga część arterii W—Z. Będzie się ona łagodnie piąć w górę w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Dokładnie koło kościoła Św. Anny arteria W—Z zniknie w tunelu.

Tunel przejdzie pod Krakowskim Przedmieściem, skośnie do ulicy Miodowej. Za ulicą Miodową W—Z wyjdzie na powierzchnię, i przebiegnie dalej w linii prostej przez przebicie ulicy Hipotecznej 5, Bielańskiej do Leszna. Długość całej trasy W—Z wyniesie 6.250 metrów, zaś długość tunelu — 474 metry.

Zrozumiałą rzeczą jest, że przebicie tak wielkiej arterii komunikacyjnej będzie musiało za sobą pociągnąć wyburzenie niektórych zarówno obiektów zabytkowych, jak i kamienic częściowo zamieszkałych. I tak zniknie, np. na zawsze dom Tepera. Wszyscy ludzie zamieszkali w wyburzonych kamienicach otrzymają pomieszczenia w nowych obiektach, wzniesionych wokół rynku na Mariensztacie.

RUCHOME SCHODY

Przez nową trasę muszą kursować z konieczności tramwaje. Ruch pieszy odbywać się będzie przez tunel po ruchomych schodach, poruszanych mechanicznie. Schody takie otrzyma Warszawa (tak pisze *Głos Ludu*) w darze od Moskwy.

WROCŁAW

Wrocław jest miastem leżącym na 15 wyspach, zewsząd oblanych wodami Odry. Najważniejszych, przerzuconych przez liczne kanały i odnogi mostów, mających ponad 100 m długości, jest 17. Wspaniały jest jeden z największych tego rodzaju w Europie wiszący most Grunwaldzki, niedawno odbudowany.

Wrocław poza Gdańskiem jest jedynym miastem w Polsce, gdzie kursuje tramwaj wodny. Cudo to zwie się „Danusia." Wydobyte z dna rzeki po odremontowaniu wozi wrocławiaków na spacery. W bieżącym roku dwie takie „gondole" będą kursować po Odrze.

W 1945 roku Odra była zatarasowana wrakami, tabor leżał na dnie, przegradzały ją wysadzone mosty i popsute jazy. Brzegi zostały zaminowane.

Wydobyto ogółem 800 jednostek, usunięto prawie wszystkie szczątki mostów i uruchomiono stocznie, w tym jedna w Głogowie przystosowana do budowy nowych jednostek.

Węgiel i rudy górnośląskie ładuje się w portach Koźla i Gliwic. Natomiast węgiel dolnośląski z Wałbrzycha ma swój własny port podwrocławski w Malczycach.

Transportem kieruje od 1 stycznia 1948 r. upaństwowiona Polska Żegluga na Odrze. W cyfrach za ubiegły rok wyraża się to przewiezionymi 100 tysiącami ton, z czego na węgiel i koks przypada 70 tys., na rudy 25 i na drobnice 5. Dokonano przeładunku 1.120 tys. ton i przewieziono na trasie Szczecin — Gryfin 22 tysiące pasażerów.

Wrocław jako szanujące się „wodne" miasto ma też własny port.

W słoneczny styczniowy dzień ciemnoszara woda w basenie stanowi silny kontrast z wesołymi różowymi murami odbudowanego magazynu.

W zeszłym roku basen był pod sam wierzch zawalony wrakami, a teraz praca może odbywać się normalnie dzięki gruntownemu oczyszczeniu basenu i powierzchni portu. Robi się to bez kredytów, gospodarczym sposobem. W rezultacie 9 milionów nadwyżki budżetowej przekazano Zarządowi Miasta. Pracują dźwigi, które do niedawna były stosem pogiętego żelaza.

Ostatnio wydobyto pływający kran. Jest to cenna zdobycz dla portu.

W stoczni Okr. Dyr. Dr. Wodnych na Zaciszu jednej z dzielnic Wrocławia stoi „Kiliński," wielka barka motorowa. Pogięte, pokryte rdzą i mułem, są maszyny „Kilińskiego" tak samo rude jak kotwica wisząca z boku i wyglądająca jak jakiś fantastyczny kwiat.

Ale w stoczni nikt się tym nie martwi, wrócą one do dawnej świetności i sprawności. Postara się o to 12 działów stoczni. Gdy nad takim rudzielcem, obłażącym ze skóry, która odpada przerdzewiałymi blaszkami, pochyla się grupa robotników w niebieskich fartuchach, wyglądają jak konsylium troskliwych lekarzy.

Pewnego dnia motory wrócą na statek, zalśnią nowością wszystkie odczyszczone i wymienione części i statek cicho bez rozgłosu zejdzie na wodę jako jeszcze jedna wyremontowana jednostka.

Od wody wieje ostry wiatr, wysoko sterczą w górę kadłuby „pacjentów." Pokaleczone barki na łące — stanowią osobliwy widok. Oto łamacz lodów Narwal wysadzony w powietrze przez Niemców. Remont — to prawie budowanie od nowa. Dyrektor, inż. Tuliński, z dumą pokazuje pływającą elektronnie i pływający keson. Ten ostatni służy do budowy filarów mostowych.

Stocznia ma na swym „sumieniu" wykonanych w zeszłym roku 300 remontów, w czym generalnych napraw — 10 holowników, 5 pogłębiarek i 16 barek.

Jest to wielkie osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że robotnicy, gdy zaczynali pracę w stoczni nie byli fachowcami. (wg „Robotnika").

APOSTOLSTWO MODLITWY

ZDAJE się nam nieraz, żeśmy bezsilni wobec szalejącej siły zła na świecie. Czasem, jeśli nie często, narzekamy na Boga, na Kościół i na posiadających władzę, że... w ogóle że „my byśmy to lepiej zrobili." Tymczasem, dużo zależy od cichego, osobistego wysiłku każdego najskromniejszego człowieka. Każdy ma do rozporządzenia siłę potężną, która, jeśli dobrze użyta, może wpłynąć na tok wypadków. Siłą tą jest modlitwa.

Uśmiechniesz się ze wzgardą — ty chrześcijaninie? Choć wzgardzisz, jednak fakt pozostanie faktem, że modlitwa jest tu wielką siłą i że, gdybyś jej użył modląc się, przyczyniłbyś się do pokoju i ładu sprawiedliwego na świecie. W każdym razie tego zdania jest Kościół i tego zdania był... Gandhi wielki zaiste człowiek.

Od wielu, ściśle od setki przeszło lat, istnieje Towarzystwo zwane „Apostolstwem Modlitwy," zasięgiem swym obejmujące cały świat. Ojciec św. co roku ogłasza, t. zw. intencje, w których członkowie Towarzystwa modlą się. Dotyczą one najistotniejszych potrzeb świata, najbardziej zagrożonych odcinków Kościoła. Co roku wzywa Katolików, by pomagali Głowie Kościoła bronią modlitwy i ofiary w duchowej walce o panowanie miłości i sprawiedliwości Chrystusa w świecie, a szczególnie, by Jego Królestwo zwyciężyło na akimś specjalnie odcinku.

W roku bieżącym również zostały ogłoszone te intencje i, skoro dotarły do nas, zostały przełożone z łaciny na język polski i opublikowane dla naszego użytku. Każdy, kto je przeczyta zauważy, że wyprowadzają one umysł z ciasnego zaułka interesów osobistych i partykularnych, a wprowadzają go na szeroki świat. Człowiek, który się w nie wczuje, czuje się członkiem Kościoła Uniwersalnego, i poczuwa się do odpowiedzialności za to, co się dzieje w Indonezji, Japonii, kraju Annamitów, tak samo, jak za to, co się dzieje w jego własnym domu, lub własnej duszy.

Przeklinamy swój los, cierpienie, udręki... A pamiętać trzeba, że to co przeklinamy, może stać się w rękach człowieka mądrego i wierzącego potężną bronią w walkach bożych, o Boży ład na świecie. Paradoks? — a może raczej prawda?

Miast narzekania — módlmy się. Zwłaszcza my, którym modlić się nie chce. (I znowu: — paradoks? — nie, raczej prawda!).

Intencje Papieskie Apostolstwa Modlitwy, na rok 1948, wydane w formie 4-ro stronicowego obrazka, wraz z codzienną krótką modlitwą, do nabycia, w każdej ilości: Duszpasterz Akademicki, 21, Earls Court Square, London, S.W.5. w cenie 1 d. za egz.

xstb.

APEL DO SODALISEK W WIELKIEJ BRYTANII

—Z jakiejkolwiek pochodzicie Kongregacji Mariańskiej, wszystkie należycie do wspólnej rodziny Sodalicyjnej. W obecnej sytuacji — rozproszeniu — trzy hasła narzucają się samorzutnie:

—Ślubowałyśmy Maryi wieczystą służbę w Kongregacji Mariańskiej i w niej pragniemy osiągnąć swe cele.

—Łączmy się w Związek Sodalicyj Mariańskich na obczyźnie. Od nas zależy, czy zapoczątkowany już Związek zostanie w pełni zrealizowany.

—Czytajmy organ związkowy „Sodalis Marianus", aby w ten sposób odnawiać i pogłębiać swą ideologię i zagrzewać się ustawicznie do dzieła.

Na niżej podany adres przesyłać zgłoszenia do Związku, podając następujące szczegóły osobiste:

—dokładny adres,

—rok urodzenia,

—rok ślubowania sodalicyjnego,

—sodalicja macierzysta, oraz

—zgłoszenie na prenumeratę „SODALISA".

O powyższym apelu powiadamiajcie wszystkie znajome Sodaliski.

Prowizoryczny sekretariat tworzącego się Związku znajduje się pod adresem:

Sodalicja Mariańska „Nazaretanek," Moderator: Ks. Stanisław Czapiewski, Foxley Camp II, nr Hereford.

Irena TOPACZ

Korespondencja własna ŻYCIA

Społeczny ruch kobiet we Francji

Paryż w lutym,

PRZESZŁO dwadzieścia lat temu powstała na terenie Franc... organizacja, grupująca kobiety wszystkich warstw społecznych, i mająca na celu odpowiednie „ustawienie" kobiety w społeczeństwie francuskim, w interesie samych kobiet, ich rodzin oraz całego społeczeństwa. Organizacja ta nosi nazwę *Union Feminine Civique et Sociale*, jej długoletnią prezeską jest Mlle Butillard. Stowarzyszenie to po wyzwoleniu Francji poza codzienną pracą prowadziło propagandę i akcję uświadomienia Francuzek o obowiązkach, jakie na nie spadają od chwili, gdy otrzymały prawa wyborcze.

Z terenu wewnętrznego francuskiego, Union Feminine wyszła szybko na teren międzynarodowy, nawiązując do swych tradycyj przedwojennych, wystąpiła z inicjatywą zorganizowania w kwietniu—maju 1947 kongresu matek, pod hasłem: *„Matka — szermierzem postępu ludzkości."* Na kongres przyjechało 29 reprezentantek różnych narodów. Po kongresie delegatki postanowiły powołać do życia organizację: *Mouvement Mondial des Mères* (Międzynarodowy Ruch Matek), przystąpiono bezpośrednio po tej decyzji do opracowania deklaracji ideowej Ruchu: „La charte de la mère." Tej właśnie deklaracji chcę poświęcić więcej miejsca.

Jest ona bardzo charakterystyczna, a to dlatego, że została opracowana z myślą o wszystkich kobietach, bez różnicy wyznań i narodowości. Duch tej deklaracji ma odpowiadać nie tylko nam, złączonym z kulturą łacińską ale i Chinkom i Japonkom i Murzynkom z Madagaskaru, czy z głębi Afryki, a także i kobietom z Bliskiego Wschodu. Trudność opracowania takiej Karty była wielka, Autorki, w chwili jej opracowywania musiały zapomnieć, że należą do tej czy innej narodowości i zdobyć się na spojrzenie na rolę kobiety w oderwaniu od: narodowości, rasy, religii i kręgu cywilizacyjnego. Francuzki, które są pomimo tego, co o nich się mówi, wielkimi nacjonalistkami nie tylko, że wystąpiły z inicjatywą stworzenia ruchu internacjonalnego, ale też potrafiły myśleć międzynarodowo.

Położono nacisk na rolę kobiety w rodzinie i w społeczeństwie. Międzynarodowy Ruch Kobiet chce być wyrazem opinii tych wszystkich matek, które chcą stworzyć siłę postępu ludzkości.

W skład Międzynarodowego Ruchu Matek wchodzą komitety krajowe, składające się z kobiet, które osobiście lub w imieniu reprezentowanej organizacji, dążą do celów określonych w deklaracji.

W pierwszym rzędzie Ruch postanawia w łączności z Międzynarodowym Biurem Pracy badać warunki pracy kobiet, tak w dziedzinie pracy zawodowej, jak i domowej, podkreślając wartość gospodarczą tej ostatniej.

Gwarancją godności kobiety jest stałość rodziny.

Kongresistki żądają ustania przesiedleń i wszelkich akcyj, które są wymierzone przeciwko świętym prawom jedności i rodziny.

W dziedzinie gospodarczej kongresistki żądają, aby wynagrodzenie ojca rodziny, było wystarczające do godziwego życia, bez względu na ilość dzieci, i aby pozwalało matkom ograniczyć się do pracy w rodzinie i w domu z pominięciem pracy zarobkowej. Kongresistki uchwaliły też udział poszczególnych członkiń w planach odbudowy krajów zniszczonych wojną. — Dalszy postulat: Niezastąpione doświadczenie matek oraz konieczność udziału każdego obywatela w życiu swego narodu stwarza potrzebę powołania do funkcji publicznych, państwowych i samorządowych — matek.

Chcąc ułatwić informowanie opinii społecznej o celach i pracach Ruchu postanowiono wydawać czasopismo *La femme dans la vie sociale* (Kobieta w życiu społecznym). Pierwszy numer tego wydawnictwa właśnie się ukazał. Piszą przeważnie kobiety. Chodzi o pozyskanie współpracy przedstawicielek kajnajwiększej ilości narodów. Pismo będzie pisało o sprawach kobiecych z punktu widzenia etyki, kultury, ekonomii, estetyki etc.

Z okazji „narodzin" pierwszego numeru, siostrzenica Paul Claudel'a, Madame de Massary, wydała w swym wspaniałym hotel particulier na Faubourg St. Honore herbatkę, w której wziął również udział znakomity pisarz, Claudel. Wygłosił przemówienie, i „przedstawił" czasopismo licznie zebranym działaczkom społecznym z Paryża, a także i bawiącym w Paryżu cudzoziemkom.

IRENA TOPACZ

Listy do Redakcji

PISMO ŚWIĘTE

Szanowny Panie Redaktorze!

W 6-ym numerze ŻYCIA pojawił się (nareszcie!) artykuł na temat czytania Pisma św., doskonale napisany przez Ks. dra P. Miczkę. Na ten temat trzeba pisać wiele i często, by skierować umysły polskich katolików ku tej „księdze ksiąg" i nauczyć ich jej czytania i rozumienia.

W niniejszym liście pragnę zwrócić uwagę Czytelników, że polskie wydanie Pisma św., w tłumaczeniu Wujka można nabyć w Londynie (*„Katolicki Fundusz Wydawniczy," 21, Earls Court Square, London, S.W.5.*). Jak dotąd ukazał się cały Nowy Testament, oraz połowa Starego (cz. I. zawiera Pisma Proroków większych, cz. II. Księgi dydaktyczne (m. in. Psałterz, Pieśń nad pieśniami, Księgi Mądrości, i in.); cz. III, zawierająca Pięcioksiąg Mojżesza i część Ksiąg historycznych, ukaże się w najbliższych tygodniach.

Z wyrazami szacunku

X. ST. B.

(Dopisek Redakcji: Całość Nowego Testamentu — 758 stron — kosztuje 5 sh. Poszczególne części Starego — po 8 sh.).

LIST Z NOWEJ ZELANDII

PAHIATUA

JEŚLI ktoś chce widzieć żywy kawałek Polski w najdalszy zakątek świata rzucony, niech do Pahiatua jedzie. Zobaczy tam dzieci, jakie po naszych wsiach Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia czy Podola spotkać można było, zobaczy młodzież przystojną i zdrową, zobaczy też trochę starszego społeczeństwa, nawet — przez wszystkich lubiane i szanowane — „babcie," co z rana pierwsze do kaplicy przychodzą.

A kaplica jest centrum, sercem osiedla. Dookoła niej skupia się życie obozu, jak w polskiej wsi dookoła kościoła. Jest ona stale otwarta. Od rana rozlega się w niej śpiew dzieci przy Mszy św., w ciągu dnia co chwila ktoś do niej zagląda, wieczorem kilka razy na tydzień jest błogosławieństwo, a gdy zciemnieje i młodsza dziatwa do snu się pokładła, nie jeden jeszcze korzysta z nocnej ciszy, by się w skupieniu pomodlić. 38 dobrze wyszkolonych ministrantów służy po kolei do Mszy św. i błogosławieństw wieczornych. Sodaliski i inne dziewczęta tak starannie doglądają porządku w kaplicy, kwiatów, bielizny kościelnej, że wszystko się od czystości świeci; wszędzie też pełno różnokolorowych kwiatów.

Przekonałem się raz jeszcze o tym, com już w Polsce doświadczył, że młodzież polska jest bardzo religijna i garnie się do Boga, ale przymusu nie lubi. Przymusem z nią nie wiele dopiąć można. Przymusu powinno być tylko tyle, co Kościół nakazuje i porządek w szkole czy obozie wymaga, nie więcej. Ale zachętą, namową, perswazją zrobić można wszystko. Gdy pogoda służy, miewam wieczorami na dworze, przy grocie Matki Boskiej „majowe" nabożeństwa w styczniu. Kto chce, przyjść może, ale obowiązku nie ma. Jak tylko dzieci widzą, że się do groty zbliżam, że już jest klęcznik i komża przygotowana, natychmiast zbiegają się zewsząd, z boiska, z dróg, domków i baraków, klękają na murawie, chłopcy z jednej strony, a dziewczynki z drugiej i śpiewają nasze piękne, rzewne do Matki Boskiej pieśni, śpiewają, śpiewają, śpiewają...

Mam „plebanię," tuż przy kaplicy: domek o dwóch pokojach. Ale nie znam kłopotów gospodarki domowej dziewczęta za mnie myślą, wszystko zrobią, zaopatrzą, przyniosą, prędko zgrabnie, chętnie. A gdyby nie spodobało mi się miejsce mojej plebanii i zapragnąłbym zamieszkać o sto kroków dalej, wystarczyło by mi wspomnieć tylko o tym chłopcom, a wnet by się zbiegli i w parę godzin dom mój z całym jego dobytkiem stałby już na nowym miejscu. — Tak mi się przynajmniej zdaje.

W świetlicy obozowej harcerze i harcerki urządzają wieczory ze śpiewem, deklamacjami i pokazami tańców narodowych, wieczory, które nam tyle wspomnień z Polski na myśl przywodzą.

Słowem wszystko tu, jak w Polsce, z wyjątkiem wichrów i trzęsień ziemi.

O Polsce każdy tu bowiem myśli, każdy o niej marzy... i da może wkrótce Bóg, że ta nasza młodzież tak piękna i zdrowa, tak dobrze na gościnnej nowozelandzkiej ziemi wychowana, powróci do wolnej Ojczyzny, by młodzieży polskiej zasilić szeregi.

KS. LEON PLATER

Ks. H. PARUZEL O.M.I.

DZIEŁO KSIĘDZA RICHARDSONA

W JEDNYM z ostatnich numerów roku 1947 — ŻYCIE zwróciło uwagę czytelników na język esperancki oraz na 60-lecie jego istnienia. Autor artykułu, niestety, ani słowkiem nie wspomniał o Międzynarodowej Katolickiej Unii Esperanckiej, dziele księdza Franciszka Richardsona.

Ks. Austin Franciszek Richardson, ur. się 21 października 1843 r., w Bombaju. Po śmierci ojca zabrany przez matkę wraz z siostrzyczką do W. Brytanii, zostaje wychowany w anglikańskim „High Church." Jako dwudziestoletni młodzieniec przechodzi na łono Kościoła katolickiego. Studiuje razem z późniejszym kardynałem Mercier. Część swego życia spędził w Anglii, część w Belgii. Nawraca wiele dusz do prawdziwej owczarni.

Pierwszego kwietnia 1910 roku kładzie podwaliny pod swoje dzieło, które przez język esperanto służyć ma Kościołowi. Razem z ks. E. Peltier, założycielem *Espero Katolika* (międzynarodowej katolickiej gazety), patronuje ruchowi obejmującemu wkrótce prawie wszystkie kraje Europy.

Ksiądz Richardson jest jednym z pierwszych, którzy docenili wartość esperanta, dostrzegł bogactwo jego lingwistyczne, pozwalające na wyrażenie wszelkich odcieni literackich, naukowych i technicznych, oraz zdał sobie sprawę, że esperanto w niczym łacinie wpływów nie zmniejszy, zawdzięczać jej będzie natomiast — jako językowi „martwemu" i urzędowemu Kościoła, trwałość i niezmienność.

Dlatego też esperanto ma w rozumieniu ks. Richardsona służyć przy międzynarodowych zjazdach, n.p. na kongresach Eucharystycznych, miało być bronią katolików w odpieraniu ataków, pochodzących z rewolucyjnych kół oraz bezbożnych międzynarodówek i stać w służbie wiary na skrzyżowaniu wszystkich języków świata.

Jego Katolicką Ligą Esperanto (I.K.V.E.) miała być do dyspozycji tym niespokojnym duchom, co przed spoczęciem na łonie Kościoła Chrystusowego szukają w podróżach i wędrówkach po globie „jednego świata i jednego Boga." Esperantyści-katolicy mają — jego zdaniem — ułatwić niekatolikom wstęp do jednej owczarni, pod jednym Pasterzem, promieniować miłością i wiedzą o życiu społecznym, ekonomicznym i kulturalnym świata chrześcijańskiego.

Ks. Richardson wszystkie swe siły oddał temu ruchowi, nazwanemu „Świętą Sprawą." Wierzył słowom Kardynała Manninga orzekającym proroczo: że praca jego wyda owoce, jeżeli znaczona będzie krzyżem. Stąd cierpienia i trudności ofiaruje w intencji „swojej sprawy."

Od współpracowników żąda odwagi: „Prócz bajaźni Bożej, niczego się nie bójcie." W życiu jego uwydatnia się wielkie posłuszeństwo władzy kościelnej. „Spiritus posuit Episcopos regere Ecclesiam Dei" — mawiał często: Duch św. postanowił Biskupów do rządów Kościołem.

Aż do śmierci interesuje się Polską. W zażyłych stosunkach jest z księżmi: Dąbrowskim i Szurkiem, kapłanami głoszącymi światu esperanckiemu wtedy, gdy Polska była w niewoli, o jej prawach oraz jej katolickim życiu.

Do wybuchu wojny hitlerowskiej organizacja katolików-esperantystów po dwakroć błogosławiona przez Stolicę Apostolską rosła w wielu krajach na sile.

Centrala znajdująca się w Niderlandii była w kontakcie ze wszystkimi katolikami esperantystami za pomocą komitetów i lig narodowych oraz dzięki organowi: ESPERO KATOLIKA, podtrzymującemu ducha czytelników — adeptów w pracy dla dobra Kościoła.

Katolicka Liga Esperancka miała członków w Afryce (Algier, Tunis, Kongo Belgijskie), w obu Amerykach, w Australii, w Azji (Chiny, Indie, Japonia, Borneo) i rzecz jasna: w Europie.

W Anglii istnieje Brytyjska Liga Katolików Esperantystów. Bardzo czynna. W Belgii działają: Zjednoczenie Katolików Flamandzkich z siedzibą w Aalst, oraz Zjednoczenie Valońskie w Hainavt. Nie brak i w Czechosłowacji silnego ruchu katolicko-esperanckiego pod honorowym patronatem esperantysty, sufragana praskiego, ks. Bpa dra Eltschknera.

We Francji, ale przede wszystkim w Austrii ruch esperancki otrzymał już prawo obywatelstwa. W Wiedniu mamy muzeum esperanckie. W roku 1924 Kongres Katolików Esperantystów otwiera ks. kardynał dr Piffl, a w r. 1937 katolicki ruch esperancki obchodzi w Austrii jubileusz swego 25-lecia.

Na Węgrzech i we Włoszech Katolicka Liga nie ma trudności, ale za to w Jugosławii sekcja J.K.V.E. mocno przeciwstawia się niekatolickiemu ruchowi esperanckiemu, posiada protekcję ks. Bpa Rożmana i sprawnie działa za pomocą swego organu „Nasza Gwiazda."

Również Litwa nie stoi w tyle za innymi narodami. W lidze esperanckiej podporą była młodzież akademicka uniwersytetu kowieńskiego.

Najlepiej atoli do dziś dnia funkcjonuje kat. ruch esperancki w Niederlandii, skupiający, co gorliwsze jednostki, około tamtejszego „Nederlanda Katoliko," organu, założonego 1909 roku i aprobowanego przez władze: świecką i duchowną. W tym kraju też powstało I.K.I.: Międzynarodowe Kat. Biuro Informacyjne, posługujące się Esperantem we wszystkich swoich działach: propagandowym, prasowym, młodzieżowym, kulturalnym i radiowym.

W Polsce przed wojną na czele ligi esperanckiej — stał ks. Janik, ze Śląska, a od r. 1937 ks. prof. Kukułka z Bydgoszczy (zginął podczas ostatniej wojny). W tym samym mieście bardzo czynnym był dyrektor gimnazjum państwowego, p. Sygnarski, autor podręcznika esperanckiego, zatwierdzonego przez Ministerstwo W. R. i O. P. Wielkiego poparcia katolickiemu ruchowi esperanckiemu nie szczędzili też księża misjonarze Oblaci, przede wszystkim wśród kształcącej się młodzieży. A wiadomo, że znany redaktor „Roczników Katolickich", ś.p. ks. Nikodem Cieszyński, w Poznaniu był cennym krzewicielem I.K.V.E., dzieła ks. Richardsona.

KS. H. PARUZEL O.M.I.

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna: 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cal przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób i pracy: do 20 słów — 5 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 8 sh. za trzykrotnie — 10 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 1 sh. zamieszczone dwukrotnie — 2 sh., trzykrotnie — 2 sh. 6 d. Różne: jedno słowo 9 d. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji: 21 Earls Court Square, LONDON, S.W.5., Tel.: FLA 1509. Adres Administracji: 12 Praed Mews, W 2, tel. PADdington 9734.

Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey.